

1059

Państw. Teatr

815

Katowice

~~1129~~
Kasi Kucowie.

27.

Państw. Teatr Śląski		
SYG.	1059	
Kata	— BIELOTA	

Bardzo pilne



"Nasi zięciowie."

Komedia w 5^{ciu} aktach.

K. Zalewskiego.

Nº 1059



С. 121/5

§-78/4397/1



R 979

11

Osoby.

Wojewódzki Elibieła Korbiczowa.

Wojewódzki Limburg

Wojewódzki Eleonora } jego córki.

Wojewódzki Marya }

Wojewódzki Stockfindel. ~~Wojewódzki~~

Wojewódzki Stanisław Hórski.

Wojewódzki Anatol Pimbecke hrabia.

Wojewódzki Józef Kelski.

Wojewódzki Albert Fingier

Wojewódzki Franciszek Dormunt.

Wojewódzki Łojja jego córka.

Wojewódzki Wicłohradski

Wojewódzki Książę Roman *Storowski*

Wojewódzki Gabriela hrabina

Wojewódzki Hrabia Janusz

Wojewódzki Hugo doktor *Debicki*

Wojewódzki Ewimowick prezes

Jan Twiżcy Korbiekowie.

Lokaj Limburga.

Gosć - Stukwa.

Przesk dnie się w Warszawie.

Niebieskie

Akt 1^{sty}

III, 1805/6

J. Kanczyński

Stolik Krawiec

Maty salonik bogato umeblowany w mieszkaniu Korbicowej, drzwi z prawej i w głębi do dalszych pokoi, z lewej wejście główne z przedpokojem.

Scena 1^{sta}

Łeński, Dormund.

Łeński

Pan Dormund tutaj! no, a to niespodzianka! przyknałem się, że jeśli kogo to pana najmniej spodziewałem się tu spotkać.

Dormund.

Myslałem, że siedzę jak borsuk w mojej norce w Margaliskach, a tu pach! i stary Dormund w Warszawie, i to jeszcze na takich salonach.

Łeński.

Na takich!... to tam dużo by można

mówić o tem.

Dormund.

A taki gadać kochanienki! mówię
mnie co tu jest, bo ja ciekaw niezmier-
nie a i interesowany takox. To jas-
ne przecie, że ja tu bez powodu nie
przyjechał.

Żelński.

Także mi pan mów. Powinno mi
się być od rana domyśleć, że stary
niechwieć bez przyczyny nie wyłazi
z kniei. No opowiedz mi pan jaka
to bieda wyciągnęła Lisirina z lasu.

Dormund.

Ah! Bieda to jest a interes. Prenica
kiepsko płaci, inne xiarno też, to ja
myślę a i moja kona takox a i ko-

sia moja córka, żeby ja się wziął do pro-
 myślu a fabrykacyi. U mnie chmielowa.
 tręśnienie a i u sąsiadów też; po co niem-
 cy mają, karabinać na piwie, my chcemy
 własny katolicki browar u mnie w Mar-
 galiskach i robić piwo jak Bóg przy-
 karał. Pojdzie do Włucka i do Grodna
 a i do Warszawy jak kazał dacie ta-
 koż! Możem sprzedac i do Moskwy
 i do Petersburga; czemu nie! No ale
 na to trzeba gotówki a my nie ma-
 my. Takozż żona mówi: jedź do War-
 szawy a i Kocia też! ta i przyjecha-
 tem. Myślę, pójdę do rydów, a oni
 pytają, hypoteki i dziwią się, co Mar-
 galicki nie w tej gubernii. Wiedząc

co x nim nie dojdę do Tad, skunam
ja bankierów, wielkich finansistów,
no, ale cóż, ja tu niernajomy! tak i
poradziła te panią i list dostatem
do niej. Powiedzieli że przyjdzie we
środy ta i ubratem się przyjdzie
i przychodzę. Na samym progu
spotkaniem ciebie! Toż ty mnie kre-
niak po nieboszce ciotce ta i radź
kochanieńki a pomagaj. Powiedź
co to na jedna ta pani, jak x nią
gadać? może wsunąć w rękę jakiś
dusier, co? ja i na to gotów! Cóż to
Korbick? Korbicz! to jakiś dziwny
nazwisko; a panna czy wdowa
ona? bo o mężu coś nie słyszę.

Łelski.

Och może być! najzupełniej autentyczny
możę pana upewnić! Widziałem go na
włosne oery przed czterema laty... na ka-
tafalku. Miał trumnę przesliczną, roś-
liny egzotyczne do kota, karawan pier-
wszej klasy na pogrzebie i karet masę.
Bądź spokojny kochany krewniaku!
pan Korbick manifestował w spo-
sób wybitny swoją egzystencję tym
pogrzebem. A jego kona! niebys' wi-
dział jak omdlewając wspierała się
na ramieniu krakiego Janusza, jak
batystową chusteczką wdzięcznie tar-
ła karórowione prawdopodobnie tem
dyskretnem tarcieciem powieki. - Nie!

nić! to musiało być matcien'stwo wko-
rowe. A jak jej było do twarzy w czar-
nym welonie i w kapelusiku a l'écu-
yère.

Dormund.

No ale nieboszczyk! czemuś on był, co
robił?

Łelski.

Nie mogłem go o to pytać; chwila
nie była potem właściwa, przy
pierwszej znajomości..... na jego po-
grzebie.

Dormund.

O! kartusiek sobie ze starego pań-
stwa i a mnie doprawdy chce się
dowiedzieć gdzie ja tu jestem i kto
jest ta pani?

Łelski.

Łelski.

Gła jeśli pan chceś tego koniecznie
przejdźmy do historyi! kastrzegam
tylko, że jest legendarna i że ja za
nią żadnej odpowiedzialności nie przy-
muję. Otóż opowiadają, że przed czter-
dziestu laty pewien magnat litewski
bodaż czy nie jakiś hrabia Koligat Kocha-
ny panie Franciszku, miał ekonomów,
męża bardzo ładnej kony a że ładna
konia jest zawsze dowodem szerególnego
błogostawieństwa Bożego więc i na-
skemu ekonomowi Pan Bóg błogosta-
wił w dobytku i względach dziecięcia;
nawet dzieci rodziły mu się piękne
i zdrowe a dziwnie do jego pana po-

dobne. Niestety wszystko ma swój ko-
niec na świecie! Umarł ekonom i
żona jego umarta! Sierotami na-
piekował się dobry pan a specyal-
nie upodobał sobie jedną, którą na-
wał kształcić na pensyach zagra-
nicznych a potem jak mówiono -
chciał nawet adoptować. Śmierć
znowu przysła nie w porę i ma-
gnat znalazł tylko dość czasu przed
skonem, aby swoją pupilkę polecić
opiece siostry, hrabiny Gabryeli w
Warszawie. Hrabina Gabryela
była siostrą wyjątkową: pozostała
wdzięczną bratu za odwiezione
miljony i kiedy młoda ekonomówna

w całej pełni urody i młodości potrze-
 bowata jednak koniecznie wyjść na
 świat, (exasem się młodym pannom przy-
 darzają się takie wypadki) otóż, kiedy
 mają jak utrzymują, te języki, był nieo-
 dzownie potrzebnym, wynalazta 2
 spośród swoich oficjalistów, cztowie-
 ka pełnego cnót i wszelkich, młodego,
 greckiego skromnych obyczajów a
 przedewszystkiem pobłażliwego, któ-
 rego matka urodziła Korbiczem a
 ksiądz przy chrzcie świętym nazwał
 Klawryncem. Jeżeli go chcesz opła-
 cić kochany panie, miejsce tu
 najodpowiedniejsze! Jesteś my w sa-
 lonie jego młody.

Dormund.

Co je znów płaćtać takiego skoldry?
No! ale ona, ona! co ona robi?

Łelski.

Co ona robi? ona robi matienistrę.

Dormund.

Stanto, rajfurka cóż?

Łelski.

A pfe! ktoś tak brzydsko narzyna
rzeczy po imieniu. Pani Korbicz jest
po prostu osobą, restosunkowaną w
towarzystwie i jako taka, utatwia
w swoim salonie bliższe znajomo-
ści paniom z młodymi ludźmi, te-
ściom z przysiętymi kuzinami. Od era-
su jak matienistrę stało się gło-
wie operacją finansową, przy-

najmniej w pewnym odłamie tomarzy-
stwa, pośrednik okazał się niezbęd-
nym tak jak w każdej operacyi kam-
lowej; pan Korbier najęta stanowi-
sko dotąd wolne, dobrze jest z tem i
tomarzystwem także.

Dormund.

No a cóż ona w tem ma?

Łelski.

A to pan nie wieś widać jak się
tu u nas matien'stwa kójara? Jest
panna posadna do wzięcia, to znaczy
ogłasza się konkurs. Trudno przez
gazety publikować warunki do na-
grody, więc pan Korbier gra rolę
sekretarza komisji. Ona myma =

gania prapry, uprzedzenia mamy i
gust córki. Naodwrot, jest ruchomosc
matkiska na sprzedanie: Tadne
nazwisko i hipoteka kaszargana:
maz do nabycia! Wystawia sie to-
war w tym salonie, okazuje nabyw-
com rozumie sie z najkorzystniejszej
strony, az sie jakos my kombinuje
Tadne dobrana para: krabiego Tim-
beche i panna Limburg, Wielobra-
dzkiego i panna Stockfindel, kra-
biego Januska i panna Efraimowicz
i slyu innych o ktorych pierwopau
styszales. Za to, na przyrod pau tego
domu dostawata kosztowne upo-
minki od tescia i kiezcia; potem,

nieboszczyk Gorbick, który z czasem z prywatnego oficjalisty wyszedł trochę na pracownika trochę na kupca, obtrzymywał ple-
nipotencyę kuzmanów swojej żony a ile
tam na nich karabiał, to już tajemnica
między nim a żoną, która po całym nie-
wiele miała jak mówią, wspólnych z
nim sekretów. Po śmierci tego prokuratora
interesa idą dalej w najlepszej, forma
wynagrodzenia jest pewno tylko bardziej
skomplikowana, o czem nie wiem bo
mnie to mało obchodzi. Mają kolej je-
szcze nie nadeszła, tam czas jak się
zrzućmy, układać się o marionki z
milutką gospożą tej kankrysty śmia-
tyni Kymeni.

Dormund.

No a pocóż pan tu przychodzić?

Łelski.

Po co naiwny litwinie? po to że się tu bawię! że tu jest przyjemnie, mesoto, gospodyni jeszcze bardzo pożytna, młode męzkatki w ogóle i mężów nie kadołowane a komedya między teściami i zięciami dla obojętnego spektatora niestychanie zabawna!

Dormund.

No ale to przecie nieporządnie tak...

Łelski.

A to od antypodów przyjechał szlachic! Gdyby ciałowiek u samych porządnym ludzi bywał to w końcu zerwaćby musiał stosunki nawet

sam ze sobą. Kochany panie Fran-
 ciszku, ja dobiegam czterdziestki i
 wiem już z doświadczenia że Kato-
 nom i baciąnom najgorzej na świe-
 cie. Dreszcz, ja już nawet w Kato-
 na przestatem wierzyć, to legenda go-
 tak ubrała. W istocie był to lichniak
 a więc ktoś byłby finansistą; uczył
 się tańczyć, a więc zwolennik cho-
 reografji, teraz skończyłby na bale-
 cie. Ty, kochany panie, jeżeli chcesz
 u nas zrobić interes, przedewszyst-
 kiem myślek się z przesażem! Porzą-
 dnym szlowskiem jest tu każdy, kto
 ma frań, turek i umie po francu-
 ku; porządna kobieta, która

ma męża, porządna panna każda,
która ma posag! o resztę nie py-
taj.

Dormund.

Alex.....

Kelski.

Gosiew

Testes! w domu kobiety niepewnego uro-
dzenia o mężu kagadkowym, której
trzydziestu kochanków wyliczano!
Patrzaj! w salonach jej tłum gości! cis-
na, się najpierwsze w kraju narwi-
ka, finansiersi i inteligencya! Widzisz
pan jak się grupują, około tego tyse-
go blondyna! To hrabia Aldersons!
jego żona z kochankiem jedzie po Wło-
szech, on wie o tem! patrz jak się
do niego garną! Tam król z prawej,

to Pyszkiewicz magnat, milioner i ekono-
ma! słyszałeś pan o jego sławnym pro-
cesie z Grodzkimi? Puścił z torbami fa-
milną żonę, wysubkastował ich najniestu-
pniej! doprowadził ją do nędzy stała się
kapł, żona skończyła w szpitalu, dzieci
są jęczące gorzej! patrzaj jak mu
się kłaniają wszyscy! A tu idą „nasi
księżciowie” hrabia Pimbeche i Wieloproski
kim. No, zostaw mnie pan z nimi, a
sam idź atakować się gospodyni tego
domu. A pamiętaj: nie ma porządku
i nieporządku, racnych i nierac-
nych, są tylko bogaci i ubogomowa-
ni albo gołi i bez wpływu. Z drugich
drwić ale pierwszych skanuj i kłaniaj

się im, bo inaczej pożegnasz się, na-
wet z browarem akcyjnym. Więc,
albo kwita z browaru albo pobłai-
wość i patrzenie przez szpary na
wszystko. Jeśli nie, wracaj pando
Margaliskę bo nie masz tu co popa-
sać.

Dormiund.

Aha, kony tu niema, córki także!...
Spróbuję kobaczyć, jak ten wasz smiat
wygląda. (wchodzi do sali.)

Scena 2^a.

Łelski potem Pimbeche.

Łelski.

A idź, idź! jeśli przypuszcza, że oń
mu coś robią dla jego pięknych oczu!...
Aha Pimbeche! jak się masz krabio?

Pimbeche.

(Łysy, krótkowidz, astmatyk, co chwila
kasze albo potyka się gdy pince-nix
spadnie mu z nosa, czego nie spostrze-
ga na razie). Tak się mam! nie mo-
 gę się zle mieć (nuci). Ten lew nacięty
 to przecie cięty do przecie Agame....
 (atakuje kaszlu, tak że nie może skończyć)

Kelski? (podchwytując)

Agamemnon sam, to widoczne!

Pimbeche.

Aha! uważasz trochę kataru (potknął
się na słotkach i o mało się nie prze-
wrócił.)

Kelski?

Cóż to, potykasz się?

Pimbeche.

Pimbeche.

Ech nie! to krótki wzrok i ta moja
krewkość! jestem taki ruchliwy! Nie
ma tu mojej żony?

Łelski.

Jest w tamtym salonie! i teść tak-
że. Sankie teraz z nim jesteście?

Pimbeche.

Nie nie! kupił mi dom przed tygod-
niem.

Łelski.

O coż ty?

Pimbeche.

A ja? sprzedatem go.

Łelski.

A to dobrze! przynajmniej urucho-
mia sz Kapitały.

Pimbeche.

Pimbeche.

Nie lubię bezczynności! lubię ruch. (po-
tyka się o fotel.)

Łelski⁵.

Tylko się ciągle potykasz.

Pimbeche.

To ta moja ruchliwość! życie tanie, ener-
gja! Szukam lustra; muszę się przy-
prowadzić do porządku! byliśmy z Wie-
łohradzkim u Ewei! tegi bursz!

Łelski.

Kto Eweia!

Pimbeche.

Nie! Wielohradzki! ma nieporozu-
mienia z teściem.

Łelski.

Wiem! trochę podobne do łowick.

Pimbeche.

Pimbeche.

O nie! 'Mój' teść jest co innego a jego teść co innego. Najprzód, wielka różnica majątku a potem, mój jest kasny starzec! bardzo dysdyngowany, gdy Stockfindel sknera. Uważasz, płaci Bisiowi rentę, która ledwo wystarcza na utrzymanie domu.

Łelski.

Chyba dwóch domów! najprzód Ewe i a potem żony.

Pimbeche.

Właśnie że nie wystarcza na Ewę i biedny chłopiec musi robić dtugi. Gniewa się też, irytuje i ciągle są skandale między nim i teściem, co nawet głupio wygląda. Ten Stock-

findel jest pro prostu kapcan, nie umie
uskanować człowieka, który wszedł do
jego rodziny! No, bo albo się skanuje
człowieka, który wszedł do rodziny, al-
bo go się nie skanuje. -

Lelski.

To jasne jak słońce.

Pimbeche.

A widziś! ja jestem logiczny! Więc
jeśli się skanuje kieżia to nie trzeba
być z nim sknerą, i bagatelizować go
na każdym kroku! Co taki Bis potrze-
buje? tam niedługo kilkadziesiąt tysię-
cy rubli rocznie! dać mu je i rzecz
skończyć.

Lelski.

Byle nie z mojej kieszeni, ja nie
mam nic przeciwko temu.

Pimbecke.

Łeczyj kłownu kieszoni! teść jest od
tego, qu'il s'exécute i basta. Kiedy
ktoś chce mieć kicią jak się nale-
ży, powinien kachowywać się jak
gentelman! Tamten go wprowadza
w świat, w towarzystwo, a ten przed
nim choma kluck od kassy! co to za
postępowanie!

Łelski.

Nie kłajduję słów żeby je określić.

Pimbecke.

Mask racye i ja nie kłajduję słów!
Taki brak kauftania! kłamykać kas-
sę przed kiciem! Poszedł Bóg poku-
kać tam tego dusigroska i powie mu
reprimandę! I ja mu ją powiem, jak

go spotkam. Notabene że Bóś jest nawet
bardzo do niego przywiązany, dba o jego
zdrowie.

Lelski.

Ec!...

Pimbeche.

A tak! Wiesz, ten doktor Hugo to jest
maniak! on im wszystkim jeść kaka-
kuje; powiada że się przejadają. Biedny
Stockfindel tak w to uwierzył, że for-
malnie głodni się; choć i mój teść tak
się głodni ale mniej! Otóż, Bóś w moich
oczach parę razy prosił Stockfindla na
kolacyę! Nawet raz chciał go naprowa-
dzić do Euicy żeby mu było mesoto.

Lelski.

Levi?

Pimbecke.

Odmówił, ale wiem z jakiej przyczyny?
Bał się płacić! Nie, Bóg nigdy z niego
nie zrobi człowieka z towarzystwa.

Łelski.

Pozumie się, człowiek który z kręciem
nie chce chodzić na kolację do jego ko-
stiumu..., z takiego nie nigdy nie będzie!

Pimbecke.

A wiem jak się to skończy? nie chcę być
tym prorokiem, ale przepowiadam że
oni się rozdzielą z żoną. Mój Boże, a
tak jednak jest łatwo osiągnąć porozu-
mienie w małżeństwie. O! my z Ma-
ryą, żyjemy jak para gołąbków (nuci)
„Łąskiem razem spędzamy życie.” Nie-
długo jej już dwa dni.

Łelski.

A ja bytem wexoraj u hrabiny i własnie
niepokoiła się trochę o ciebie.

Pimbeche.

Kocha mnie skalenie i jest trochę roz-
drosna. ! przytem od czasu jak zostałem
konsulem Marokańskim!... bo ty nie
wiesz, że ja zostałem konsulem Mar-
okańskim?

Łelski

Wierszuję!

Pimbeche.

Nie ma czego. ! Jesć się tem rają! !
Mam bardzo piękny mundur, w któ-
rym mi jest do twarzą i na mojej ko-
nie zrobiło to wielkie wrażenie. Na
Płoci też! Sprawitem suknie jej; sta-

niczek, pięści detko. O czym to ja mówię?
wilem?

Łelski.

Mięska ci się! o konie.

Timbeche.

Aha, o konie.

Łelski.

Ładuje mi się że tu właśnie idzie z królem
Samiusem.

Timbeche.

Co i on tu jest? to pewno i Efrimowicz
będzie! Ot, to mi jest leś!'

Łelski.

Ba! księżę bankierów.

Scena 3^a

Cix i Elżbieta

Timbeche.

Pimbecke.

Aha Marya! jak się masz komusiu! Ło nie
żona! przepraszam panią, wziąłem panią
za Maryę! Nie trzeba jej mówić o tem! jest
tak kachdrosna.

Elibieta.

Strabina jest k ojcem w salonie.

Pimbecke.

Biegnę do nich (nuci) „Biegnę gdzie mi
serce wykrywa”. (potyka się na progu) O
widzi pani: toujours trop de sévé. (my-
biega).

Łelski.

No, jeśli ten się na krewność skarży.

Elibieta.

Właśnie skukatom pana, panie Łoketie.

Łelski.

Mnie, doprawdy? czy istotnie miałbym

napisać gniazdką ten dzień w ka-
lendarzu.

Elżbieta.

Przypominają mi się pańskie gniazdko!
słyszałam coś o tem.

Łeński.

Ldaje mi się, że pani nawet widziała
jedną.

Elżbieta.

Ah panie! o tem się nie mówi.

Łeński.

Wszak jesteśmy sami.

Elżbieta.

Ale nie ci sami co przed laty! zostaw-
my te dzieciństwo! Wolno było bardzo
młodemu człowiekowi napisać w kalen-
darzu gniazdkami dni szczególne

swoich powodzeń, wolno było młodej kobiecie być ciekawą przejrzeć te cenne dokumenta w mieszkaniu właściciela.... ale dziś... No! bądźmy przyjaciółmi Cynno i zapomnijmy o przeszłości a raczej pamiętajmy o niej o tyle tylko aby sobie wrażenie oddawać małe przystęgi domaryskie. O jedną z nich przychodzi właśnie prosić pana.

Łelski.

Rozkazuje pani!

Elżbieta.

Kto to jest pan Dornund?

Łelski.

Gość pani.

Elżbieta.

O tem wiem! przywiózł list od dobrego

mojego znajomego, który mi go poleca
bardzo gorąco. - Chciałabym jednak wie-
dzieć bliżej z kim mam do czynienia.

Kelski.

Pan Dornmund jest właścicielem Mar-
galiszek, to jest około stu włók pięknej
ziemi psennej i jest podobno jakimś
moim krewnym, czy powinowatym.

Elibieta.

Co go łączy z panem Stanisławem
Horskim?

Kelski.

Ze Stasiem? bardzo bliskie prokre-
wienstwo! jest jego rodonym wujem!
Marszałkowa Horska była z domu
Dornmundówna.

Elibieta.

Elżbieta.

Dziękuję panu! to tylko chciałam wiedzieć.

Łelski.

To tak niewiele, że aż ośmielam się podjąć
krewać skrzerosć pani.

Elżbieta.

Da objaśnienie każdemu pan otwartości z
mojej strony! niech i tak będzie; kresata,
niema w tem tajemnicy żadnej. Pan Sta-
nistał interesuje mnie trochę; przed dwó-
ma laty spotkałam go w Reichenhallu!
potem, wypadła nam podróż w jedną stro-
nę do Tyrolu i Szwajcaryi. Byłam tyl-
ko z panną służącą więc opieka męż-
ka stała się dla mnie bardzo cenną, a
że pan Kłowski jest miłym towarzyszem
podróży....

Łelski.

Łelski.

Comprend: glissez mortels n'appuyez
pas.

Eliścieta.

Tes' pan impertinent; x reszta, niemam
wcale zamiaru spowiadać się przed
panem! myśl sobie co chcesz! prosi-
tes' mnie pan o objaśnienie, daję je
panu. Pan Florski napisał do mnie
list, polecając mi pana Dormunda, o
pokrewieństwie jednak x nim nic nie
wspominał i dla tego pytałam pana
o ich wzajemny stosunek, bo inaczej
naznuczemy się blizkimi krewnemi na-
szych przyjaciół a inaczej matkami,
którym daje się kartkę polecającą aby
się ich pozbyć. Ot i wszystko? A nie,

proszę prosić! Horszki wspominał mi kiedyś, że kiedyś panowie w przyjaźni; na kamień płacę panu chlebem, udzielając wiadomości, że przyjaciel pański w tych dniach przyjeżdża do Warszawy.

Łelski.

Pani! gnę się do ziemi! jestem przybity wspaniałością pań i gdybym jeszcze wiedział co pań zamierzasz z nim zrobić?

Elżbieta

Z kim?

Łelski.

No nie możemy przecież! z Horszkim.

Elżbieta.

Troska kłopotliwa! Pan Stanisław jest piętnoletnim.

Łelski.

Łelski.

Do wszelkich skaleństw dla kobiety.

Ełbieta.

A więc, podejrzymasz mnie pan?

Łelski.

Niestety, przyznaję się, podejrzewam
panią! nie, to za mało! ja jestem
pewny.... że pani masz na niego ja-
kieś plany.

Ełbieta.

Tylko niewiesz pan jakie! No nie masz
mnie pan przekieć na tak naiwną, abym
się pani spowiadata. Ale, dam pani
radę.

Łelski.

Kadaś od nieprzyjaciela zawsze podej-
rzana.

Ełbieta.

Elżbieta.

Więc jesteśmy w wojnie? nie wiedziałam o tem!
W każdym razie tem bardziej praktyczną bę-
dzie moja rada! Słuchasz pan, że mam ja-
kieś zamiary na pana Horskiego? Chcę go
porwać, wykraść, wystać na morze czy uk-
ryć w pustelni?... a więc broń go pan.

Żelński.

Proszę pana?

Elżbieta.

Naturalnie! Masz pan pierwszeństwo,
możesz go pan uprzedzić. Roba cypsa go
pan wpierw odemnie. Pan, broń fort-
ecy a ja zdobytą; a więc, każo-
go, bacznosc! Nieprzychylnie pod murami.
Tymczasem podaj mi pan ramię i prze-
prowadź mnie z powrotem do moich
gości.

Łelski.

A zatem, zawieszenie broni?

Elżbieta.

Wysłanko to kategory od pana. Pan mi
wyповідаł wojnę, przyjmuję ją; jeśli
pan chce zgody i do przyniesienia
jestem gotowa.

Łelski.

Niewiem co lepiej, godzić się czy woj-
nować z panem? - jedno i drugie równie
niebezpieczne!

Elżbieta

Trzymaj się pan zbrojnej neutral-
ności to będzie najpraktyczniej. (wy-
chodząc do salonu). (Przez chwilę scena
pusta)

Scena IV



Fr.

Kwice

Stockfindel - Wielopradzki.Wielopradzki.

Nie panie, to tak dłużej być nie może.

Stockfindel.

Co być nie może, - co być nie może? mój
 kuzin proszę cię daj mi pokój, ja jestem
 chory; całą noc spać nie mogłem,
 musiałem się znowu przejechać

Wielopradzki.

A ja nie mogę spać, i przysypany
 tescią.

Stockfindel.

Cóżem ci zawinił?

Wielopradzki.

Niemysłacz mi pan prosi o żonę
 a renta mi nie wystarcza.

Stockfindel.

Stockfindel.

Od ciebie tylko zależy żeby była mię-
ksza.

Wielohradzki.

Właśnie tego żądam.

Stockfindel.

Łrób sobie kapitał.

Wielohradzki.

Z czego?

Stockfindel.

To ty musisz wiedzieć nie ja. Kupi-
łem ci wieś, mysubkastowali cię z niej;
zrobiłem ci posesję, i to jawa, porządę!
niechciałeś nie robić i rada zarzą-
dzająca data ci dymisję. - Obecnie
daję ci rentę, na utrzymanie mas
dwojga i dziecka. Ty robisz długie i
żadasz kapitału, ja odmarzam i

wszystko jest w porządku z wyjątkiem
mojego kółka.

Wielopradzki.

Pan myśli, że ja to dłużej będę kłósił.

Stockfindel.

To nie kłósi.

Wielopradzki.

Robię skandal.

Stockfindel.

Rob.

Wielopradzki.

Wystąpię przed sądy.

Stockfindel.

Wystap.

Wielopradzki.

Derwę z państwem wszelkie sto-
sunki.

Stockfindel.

Stockfindel.

Lerwij.

Wielohradzki.

Lakaz mojej żonie bymć u rodzi-
cóm.

Stockfindel.

Lakaz.

Wielohradzki.

Więc pan jesteś pokrawiony wszel-
kich ucieć rodzimych.

Stockfindel.

Nie, ja tylko uważam, że dość jes-
tem pokrawionym pieniądze przez
ciebie i pragnę niebyć pokrawianym
na przyszłość.

Wielohradzki.

Alex mój teściu.

Stockfindel.

Stocklindel.

Alex. mój kciucin kasta nów się i przy-
patrz mi się, czy ja też wyglądam
na osta!

Wielotraduki.

Niemiałem zamiaru dotykać pana
osobiście.

Stocklindel.

Chciałbys' tylko osobiście dotknąć mo-
jej kasy. Rozumiem najzupełniej tę
chęć z twojej strony, tak jak chcia-
łbym abys' ty zrozumiał brak mojej
skłonności w tym kierunku. Wiedząc,
nie irytuję się, jakkolwiek jestem sta-
by i jeśli chcesz mogę ci poświęcić pa-
rę minut czasu abyśmy raz doszli
do stanowczego porozumienia. - Por-

wolisz tylko, że kapale cygaro bo
mi to pomogą do trawienia.

Wielopradzki.

Może i mnie też pomoże; przy-
najmniej to ryzykam na pewno.

Stockfiindel.

Stużę ci. Tak damy mejda, musimy
wrzucić: radziłbym, ci zatem wziąć ta-
kie, bo pocoż marnować dobre cyga-
ra na krótką chwilę.

Wielopradzki.

Oszczędność godna podziwiania.

Stockfiindel.

Śnaśladowania. A więc kochany
zięciu myślceraj swoje pretensye do
mnie. - Wielopradzki.

Wielohradzki.

Nie mam z czego żyć.

Stockfindel.

Ty, czy panna Ewa?

Wielohradzki.

Kulisy mojego prywatnego życia należą
do mnie i dopóki moja kora się nie skar-
ży.....

Stockfindel.

Mask stusność i przepraszam cię za
tę małą niedyskrecyę. Mówmy o tem
co obadwaj miemy do kładnie. Ożeniłeś
się przed dwoma laty z moją córką -
Heleną dla tego że miała duży fortak.

Wielohradzki.

Jakożatem się w niej.

Stockfindel.

Pochlebiasz mi kochany sięciu. Za

wydałem ja za ciebie, bo pochodzisz z
dobrej rodziny i nowiesz ładnie narodzi-
ko; jak widzisz stawiam kwestję
jasno. Raczem od tego że ożyci-
łem z długów swój majątek rodzinny;
kosztowało mnie to około stu tysięcy
rubli. W dziesięć miesięcy wysubha-
stowano cię z Wielkhradu.

Wielkhradski.

Rok był nieurodzajny; brat ciotecz-
ny mnie karwał....

Stockfindel.

Łednem słowem, niecierpię. Uwa-
żając, że ci gospodarstwo nie sprzy-
ja zrobiłem ci prośbę w banku.

Wielkhradski.

Wielopradzi.

Skieć, gadzin dziennie rozdzierać się z
 ronaż! to byto dla mnie kawięle.

Stockfindel.

Uczucia rodzinne praxe mogły! pomimo
 moich wptywów i stosunków usunięto
 cię z posady. Postanowiłem zachować
 niewielką, już resztę summy posago-
 wej w mojej kasie aby kóna, którą tak
 kochasz, nie poszła z czasem pod płot
 z dzieckiem i wypłacam wam rentę,
 przenosząc dwukrotnie procent od
 resztek posagu. Ustaliwszy w ten spo-
 sób historyę przeszłości przejdźmy do
 dwóch zadań na przyszłość. Czego so-
 bie życzyć?

Wielopradzi.

Wielohradzki.

Kapitału.

Stockfindel.

Na co?

Wielohradzki.

Chcę sobie stworzyć pozycję! Postanę dziennikarzem.

Stockfindel.

O ile styszałem, na to potrzeba coś zrobić.

Wielohradzki.

Ja już piszę recenzje teatralne i literackie w Słoneczniku.

Stockfindel.

Patrzajcie! że ja się odrazu nie domyśliłem! że ten co tak wymyśla wszystkim, to ty jesteś mój kuzin?

Wielohradzki.

Wielohradzki.

No tak wszystko nie wymyślam, tylko
tym których nie lubię.

Stockfindel.

Musisz nie wiele lubić! mniejsza o to. Po-
states' ratem dziennikarzem bez kapita-
łu.

Wielohradzki.

Tak! ale chcę mieć dziennik własny!
to mi dopiero da pozycję.

Stockfindel.

Gdzie?

Wielohradzki.

Naczelnego redaktora! a przytem i
też szukaćbyś pomocy, poparcie dla
swoich interesów. Skłonić konkurentom,
popierać swoich!....

Stockfindel.

Stockfindel.

Niem hej.... Wiem co, po namyśle nie!...
obejdźmy się bez dziennika; to by knowu
na moją kieszeń spadło. Wolę żebyś
sobie na cudzy rachunek wymyślał
autorom i aktorom, niż żebyś mnie
na mój koszt protegował. To by knowu
była cała droga zabawa. Przecież
w liberalnym organie żebyś mnie
skrokił, a w konserwatywnym ja
sobie a toby mogło naruszyć naszą
harmonię rodzinną. Zostawmy jak
jestesmy.

Wielokradzi.

Ależ konserwatyzm uważa wielkich
finansistów.

Stockfindel.

Stockfindel.

Kto ich nie uznaje! Tylko ci czytają-
cy to nie zawsze nas kochają.

Wielohradzki.

No ale postępowi, którym nie chodzi
o pochodzenie.....

Stockfindel.

Co mi tam przyjdzie z radykałów!
to są goli kotyrsze! Nie, mój' cięciu,
nie możesz mieć na garęte.

Wielohradzki.

To proszę o kapitał.

Stockfindel.

A ja odnawiam.

Wielohradzki.

Doprowadziś pan do skandalu.

Stockfindel.

Stockfindel.

Stary jestem.

Wielohradzki.

Mam długi! sprzedadzą mi ruchomości.

Stockfindel.

Wystąpię o wyłączenie z pod kąpcia, świadczeniem mającej córki.

Wielohradzki.

Wsadzą mnie do więzienia na długi.

Stockfindel.

Będziemy cię odmiękać co niedziela z żoną.

Wielohradzki.

Panie Stockfindel!

Stockfindel.

Widzisz mój kuziń, ty przeszedł o tea-

tre ale ja ka to prypominam sobie cza-
 sem sztuki na których bymatem. Ojciec
 utkwita mi w pamięci jedna: księż prana
 Poirier. Stary kupiec wydał córkę za
 męża za margrabięgo i później knosi
 różnie od niego grubizianstwa i awantu-
 ry bo ma nadzieję, że księż za jego pie-
 niądze. zrobi go parzem Francuzi. Czy ty
 możesz mnie zrobić parzem Francuzi? nie!
 To co mogłaś dos' już dla mnie zrobić.
 Cestem dziadkiem matego Wsłokrad-
 kiego a to jest męstwo o co mi chodzi-
 ło. Chciałbym się obejść bez skandalu
 z tobą; ale jak tego będzie potrzeba, od-
 biorę ci dziecko i konę a potem rób sobie
 co ci się podoba. -



Wielohradski.

To jeszcze kowaczymy.

Stockfindel.

Nic nie kowaczymy! Ty mi nie nie pokaz-
resz a ja ci nie pokazę moich pieniędzy!

Widzisz idzie doktor Hugo! zostaw mnie
z nim, odbędę sobie małą konsultację
a ty idź do żony.

Wielohradski.

Pójdę i kabiorę ją, utąd za karując
ją na przysłość.....

Stockfindel.

Nic jej nie karaj! ona jest mądrzej-
szą od ciebie; wie co robić, inaczej nie
byłaby moją córką.

Scena V.

m /

Stockfindel, Hugo. N

Stockfindel.

Dobrze, że tu jesteś doktorze. miałem
razem posyłać po ciebie. jestem słaby.

Hugo.

Permo znów się pan przejadłeś.

Stockfindel.

Przejadłeś, przejadłeś! zawsze jedno i
to samo! cóż to ja nie mogę już na co in-
nego chorować tylko na przejedzenie? Już
wskazy w domu się ze mną śmieją, że się
tak głodzę a pan jax tylko cnię się sta-
by, mówisz, przejadłeś się."

Hugo.

Cheer pan dostać apopleksyi.

Stockfindel.

Co na niesmaczne party!

Hugo.

To pan jedz! rano, w południe, wieczorem, na noc, zobaczysz pan jakie będą skutki.

Stockfindel.

No więc po co ja trzymam kucharkę i to takiego, któremu tyle płacę?

Hugo.

Dla gości.

Stockfindel.

Gości, gości! więc ja mam tylko pa-
stryki jak moi goście jedzą.

Hugo.

Widzisz pan, kiedy ktoś tak jak pan
sam dorobił się majątku to prawdopodobnie
dobrze na młodo jadł licho. Pito na
starość zostaje smaczkiem, kończy zwy-
kle na cukrową chorobę, a propleksję

lub coś w podobnym rodzaju. Jeśli panu
tak pilno umrzeć ja panu nie przeszkadzam,
przejadaj się pan dalej, irytuj się pan jak
radę bankier.

Stockfindel.

Chyba się nie irytował żeby nie mój kuzin.

Hugo.

Pocóż pan sobie takiego wybrał? Wajt

Stockfindel.

Kto? ja wybrałem! to Kor... Limburg
o to! niech będzie, że ja sam sobie, dość,
że ja przez niego choruję. -

Limburg.

(Wskazując na ostatnie słowa) Przez kuzina?
to epidemiczne, bo ja też choruję przez
mojego.

Hugo.

No moi panowie, darujcie, ale czegoś

my od nich chcecie?

Stockfindel.

Łeby nas nie kjadali.

Hugo.

Priedy mają apetyt a wy jesteście
smaczni.

Limburg.

Łartuj' pan xdrów.

Hugo.

A po cóż oni się żenią?

Limburg.

No! żeby mieć żony.

Hugo.

Pieniądze! dajcie im pieniądze i wszystko
będzie w porządku. Ja tylko,
gdybym tak praciał tobym lepiej dobie-
rał się ciów.

Stockfindel.

Stockfindel.

No przecież Wielostradański zbudowany
na urząd.

Hugo.

Sanguinik! z takimi kawser niebezpie-
cznie! jedna chwila i może być krach!

Stockfindel.

Krach? co pan mówi! karrax go ka-
asukuruję na życie.

Limburg.

A mój cór?

Hugo.

Wycieńczony, chuchro!

Limburg.

Taki hrabia.

Hugo.

Hrabia nie hrabia a to są wszystko
angielskie mierzchowce ale dykawięz-

ne albo bez nóg. Szukajcie narwisz
ale i ludzie zdrowych! mogłoby mieć
trochę głowy i trochę serca w dodat-
ku, no ale to już wasza rzecz i wa-
szych córek moi panowie. Co do mnie,
jako doktor pragnąłbym od nich zdro-
wia bo inaczej młode pokolenie na
nie się nie przyda.

Stockfindel.

No przecie Wielohradzki ma nogi.

Limburg.

Limbecke nie jest dykawniwy.

Hugo.

Phe... Phe...

Limburg.

(odciągając doktora) Stuchaj no docto-
rze, ja skorzystam z twojej rady

i jakbym sobie za mąż wybierał....

Scena VI ^{Scen.}

Ciż i Fingier, Dormund potem Marya
Łelski, Elżbieta. N

Fingier

(Wchodzi pod rękę z Dormundem) Kochany
panie, co prawda przyjechałeś trochę nie
w porę. Przechodkimy teraz kryzys finan-
sowy, stagnacya wśrodku! nie wątpię je-
dnak, że pański interes da się zrobić!
Potrzeba tylko w tym celu pośiedzieć w
Warszawie, pokręcić się tu pomiędzy na-
mi sprowadzić żonę i córcekkę.

Dormund.

A na cóż one takż do interesu?

Fingier

Cytowick familijny kawale budzi miścej za-
Zel. Lub.

ufania.

Łeliski

Marya (do Stockfindla)

Papo, uciekam z panem Łelskim! Jedzie-
my do hrabiny Gabryeli.

Stockfindel.

A cóżes z mężem zrobiła?

Marya.

Łagubił mnie jak zwykłe. No panie Łel-
ski? czekam na Sigisbeja.

Łelski.

W tej chwili stwórz panu (do Dor.) Krew-
niaku, trzymaj się ostro! Kłóse mi się,
że tu na ciebie polują.

Dormund.

Cóż znówu? Tacy mili ludzie! Tylko
po co oni chcą mojej żony i kosi?

Elżbieta

~~Now.~~

Elżbieta (do Limburga).

Proszę zdaje mi się, że będziemy mieć
coś nowego! kogoś godnego Loli.

Limburg.

Dobre pani! ale ja go raczej wprzód
obejrzeć przez Doktora.

Stockfindel. (d.s.)

Płuca i nogi to wielokrotnie ma
zdrowe napewno.

(Koniec aktu 1^{go})Lastona spada.Akt 2ⁱ

Ten sam pokój w mieszkaniu Korbiczo-
wej. Za podniesieniem zastawy Korbic-
zowa siedząc przy stoliku czyta list.

Scena 1^a

Elżbieta, Lokaj Limburga potem Jan.

Non Sen

Elzbieta. (crystalist)

Przeż utwórna! przyśle Lole u krabina
onoto drugiej a potem sam przyjadę!
Lastrzegam tylko doktora Tout à vous
Hannibal Limburg. Nie podpisat et
Compagnie. (do lokaja) Możesz odejść!
odpowiedzi nie będzie. (lokaj mychodzie)
Suk blisko pierwsza! przyjechał one
gdaj i doślad niebył. Może go Kelski
uprzedził? jeśli mu mówił o przesłóci,
opowiedział co mi o mnie! Czyżem się
tak zmieniła? Wszak mnie, niewi-
dział od dwóch lat! Nie on przyjdzie,
musi przyjeść! takich dui się nie kapo-
nina tak łatwo, jak nasze Interla-
cken, lub Chillon. Był taki młody,

tak wrażliwy.

~~Sc~~

Jan (wychodzi)

Eli bieta.

Ach nareszcie! pan Horski wszak tak?

Jan.

Tak jest jasnie pani! Pan Stanisław Horski.

Eli bieta.

Proś! Niema mnie w domu dla nikogo, prócz dla hrabiny Pirbeckiej i panny Limburg.

Jan.

Rozumiem, proszę jasnie pani. (wychodzi)

Scena 2^a

Eli bieta, Horski.

Horski.

Elly.... Pani.... Proszę wierzyć, że bez listu nawet, byłbym tu natychmiast po przyjeździe, gdyby nie obawa, że poja-

wienie się moje w porze niewłaściwej....

Elżbieta.

Przed dwoma laty nie lekabyś się
pan niewłaściwej pory! bądź pan spo-
kojny jednak! nie będę panu ani wy-
mawiać ani przypominać przeszłości.
Chciałam pana widzieć, nie w tem
dziwnego, chciałam pierwsza uści-
snać dzień twój, na powitanie w War-
sawie, oto wszystko! Skrajczya
daleko; dwa lata, to wielki awantur-
era Elly wysła dziś na osobę tak po-
ważną....

Horski.

Sarko? naprawdę chcesz pani zapom-
nieć o tem co ja do najpiękniejszych
chwil w mojem życiu liczę?

Eli bieta.

Bo pańskie życie nie długie dożył! gdy
moje.... jestem starszą od pana, niestety!

Horski.

Próż o tem mówi! reszta tak nie wie-
le!

Eli bieta.

Dwa lata temu istotnie nie wiele by-
łam starszą, a raczej byłam skaloną!
dziś... nie mówmy o tem....

Horski.

Więc istotnie wszystko już napom-
niane, pogrzebane w falach Brienne
i Sedanu?

Eli bieta.

Wszystko nie! a dowód najlepszy,
żem pana widzieć chciała! Siada-
j tu przy mnie! pogwarzyemy. Będzie

mnie pan uważał na swoją dobrą,
poeciową, starą przyjaciółkę! Nie sta-
nę, siostrę, której należy się szczerze
spowiać a grzechów młodości i o
rozgrzeszenie prosić tak, jak każda
rady w trudnych okolicznościach życia.
Na powiernicę i doradczynię mam
kwalifikacje wielkie! No, opowiedz
mi pan wszystko co robicieś przez te
dwa lata!

Horski.

Gospodarowatę kawiećcie! Wiesz
pani, że po śmierci matki, wyjecha-
łem z kraju, zostawiając wszystko
na łasce ożadcy! Po powrocie, przeko-
natem się że jeśli regularnie na każde
moje żądanie przysyłać mi pieniądze,

to również systematycznie na mocy pleu-
potencyi, coraz nowemi długami hipotek
moich wiosek obciążała. Jeszcze lat parę
podobnie nieopatrzonego życia na granic-
ach, a byłby mnie wykwiłował ze wszy-
stkiego! cwa szczęście, ratunek był je-
szcze możliwy! Wziąłem się do pracy ener-
gicznie a choć jeszcze nieoczyściłem się
zupełnie, mam nadzieję jednak, że my-
brnę i utrzymam się przy rodziwej gle-
bie. Naturalnie, że pierwszym do tego
warunkiem była i pozostała oszczędność!
Zamknąłem się też w domu i od dwóch
lat po raz pierwszy puszcilem się na dal-
szą wędrówkę aż tutaj.

Elżbieta.

Elżbieta.

Musisz pan mieć rozrywki w okolicy?
przyjemne sąsiedztwa?

Horski.

Nie pani! 'Procz wujostwa moich i kilku
dalszych krewnych, nie mam prawie nikogo
go a nawet na polowania dalsze, niemo-
żaprośzeń nie pędziłem.

Elżbieta.

Nie wytłómaczysz mi pan proście aże-
by przez dwa lata i serce spało.

Horski.

Serce... serce żyło wspomnieniami
Szwajcaryi.

Elżbieta.

Pochlebco!... No, przyknuj się że przypro-
wadziwszy dom do porządku, myślał o
nowych dla niego lokatorach. Czy

nie skunacz ptaszka do adrestauromanej
klaski?

Horski.

Mówisz pani o małżeństwie! doprawdy...

Elżbieta.

A dla Boga! zapomniatam, że jestem
wdową i gotowaś pan pomyśleć!... No
nie lekaj się pan! mam ochotę cię swa-
tać ale nie ze sobą!

Horski.

Nie podejrzewałem panią o jakieś za-
miary na mnie! Wiem że byłem dla
ciebie fantazją, kaprysem chwilowym,
który minął, jak minają róże.

Elżbieta.

Po co ta obłąda między nami? czyż nie
lepiej tak dla mnie i dla ciebie że w

Kielichu na dnie zostało jeszcze parę
kropeł wina a nie sól i rozgarzenie!
„Zdradziłeś mnie” „zapomniatasz”
„miserotny” „niewierna” to dobre do
melodramatu, ale dla nas!... Panie
Stanisławie trzeba się ustakować. El-
zy utonęła choćby w lodowiskach Lau-
serbrunnen, rozprysnęła się w kroplis-
nym fyle Schimmelbachu ale zosta-
ła Elżbieta Korbick, która pragnie,
aby jej przyjaciel, człowiek młody, pię-
kny z dobrym nazwiskiem i siwiejącą
inteligencją, nie zmarniał na wię-
skim nagonie w walce o urodka's
pogoda, i o kredyt z lichwiarzami
ale żeby, przy mojej pomocy, wysnuwał

sobie odpowiedniej żony.

Horski.

Takaż to manija smutania rozwija się
w pań!

Elżbieta. (podchwytyjąc.)

Na starość.

Horski.

Czy wracamy do Chillon?

Elżbieta.

Dzieciaku! przyjmiesz pan żonę którą
ci wybiorę?

Horski.

Pań! polskie przysłowie mówi, że sam
Bóg żony przernacza a tylko kłóślimy
Rusini dodaje, że czasami cieknie się w
to mięsko.

Elżbieta.

Pańska wiara w przysłowia mała

mnie obchodzi! daleko więcej idzie mi
tu o pańskie pojęcia romaryskie i
społeczne.

Horski.

Tego dobrze nie rozumiem! proszę o bar-
dziej kategoryczne badanie.

Elżbieta.

Takie warunki stawilibys' pan dla
swojej przyszłej żony?

Horski.

Tędy, jedyny! kiedy mi się podobata...
na żonę....

Elżbieta.

Cu nic więcej?

Horski.

Sądzę że miści to w sobie wszystko.

Elżbieta.

A więc, jakieby powinna wyglądać

ta, która by się miała panu podobać....
na koncu?

Horski.

To przedmiot tak obszerne! Myślałem że
o czym innym rozmawiać będziemy.

Elżbieta.

Chcę pana skusić, jak Mefistofeles Fau-
sta i pokażę panu na chwilę Małgorza-
tę.

Horski.

Ła nastona?

Elżbieta.

W imbie milionów! wszak to panu nie
przeszkadza?

Horski.

Piękna, młoda i bogata!

Elżbieta.

I rozumna.

Horski.

A więc skreślenie Salamonowe! No a
gdzieś napój czarodziejski?

Elżbieta.

Żytekny! chcę abyś pan działał na
trzęśno.

Horski.

Brylant musi paui mieć skary bo
inaczej nie czekałby mojego wypad-
kowego przyjazdu! Sygnęce ręk mycięż-
nęłoby się po niego...

Elżbieta.

Owizask pan swoją wartość; nie jesteś
równy wszystkim; masz pan także skre-
ślenie Salamonowe: młodość, urodę, rozum,
jesteś samowolnym i nosisz piękne narwi-
no. -

Horski.

Ach nazwisko! rozumiem! panna A.
piękna nieznajoma, jest?.....

Elżbieta.

Córką bankiera! Czy pan maś upro-
żenie do córek bankierskich?

Horski.

Do córek nigdy; do ojców czasami.

Elżbieta.

No a więc ja pana nie chcę kenić i oj-
cem tylko, z córką i.....

^{pot} ~~————~~ Sau (melduje.)

Pani hrabina Limbecke z siostrą, py-
tają się czy jaśnie panu przyjdzie!

Elżbieta.

Proś. (Sau wychodzi) poznam pana z,
panną Limburg! na imię jej Lola. Mi-

exne Dzięcko.

Horski.

Pani prosiłaś mnie na pierwszą... teraz
druga; czy to było utracone?

Elżbieta.

Najprzód pan kobacz, pytania na po-
tem.



Scena 3^{cia}

Mich. Tel

Elżbieta, Horski, Lola, Marya.

Marya.

O jak się masz Elly! przypiechatysmy
mężczyń i Lola, bo papa... (sposroznaga
Horskiego.) Ach!

Elżbieta.

(przedstawiając) Pan Stanisław Hor-
ski, hrabina Timbecke, panna

Lola Limbury młoda osoba również
ktośliwa jak tadua.

Lola.

Przecież kosołimności protestuję a urodę
moją sama w wątpliwość poddajesz, gdy
na mnie wracasz uwagę.

Elżbieta.

Twoją piękną towar trzeba zachwa-
lać.

Lola.

Więc mnie masz na sprzedanie! A pan
może jesteś nabywcą? Papa tak nas tu wy-
prawiał na śniadanie do ciebie, żebyśmy
się spieszyły! kazał mi się ubierać jak naj-
gustowniej! Panie, mam kaszcyt pana
zapewnić, że jest mi w tej sukni bardzo do
swary; ale w innych myślałam o wiele

gorzej.

Marya.

No, czy to nie istny kochanek proszę pa-
na?

Horski.

Wnosząc o tego co słyszę, co najwyżej,
zaliczyłbym panią do kawalerki lek-
kiej.

Lola.

Czy to alluxya to mojej lekkości?

Horski.

Lekka kawalerka pierwsza występuje
do ułanek, po bitwie goni nieprzyja-
ciela, ale w poważnem starciu udziału
nie bierze.

Lola.

W takim razie, ja się do niej nie kwa-
lifikuję! nie goniłabym nigdy za m-

Kim?

Horski.

Ciepli chodzi o zdobycie niewolników....

Lola.

Wzięci gwałtem nie mają wartości! ceniłabym tylko takich, którzy sami się oddają na łaskę i nielaskę.

Horski.

A więc poddaje się z góry, bez walki! w takim razie gdzieś tryumf zwycięzcy?

Marya.

(do Elżbiety na stronie) Łacznają, wcale niechęle.

Elżbieta.

(do Maryi na stronie) Nic mi nie kry tylko niechbył śmiało! Także ci się on podobał?

Marya.

(jak wyżej) Bardzo przystojny, nawet na

piękną jak na męża.

Elżbieta.

Jak wyżej? A na samogrze?

Lola.

No przyknuj pan, że moja siostra miała rację i że muszę na panu robić wrażenie panny.... jak żeby to grzesznie powiedzieć?... na śniadłej!

Horski.

Wiśniew jestem prozę panu i me uszy-
skiem najwyższej cenię prawdę, naturę i
swobodę. Śmiałość również by mi do gu-
sta przypadła o ile....

Lola.

O ile co?

Horski.

O ile by była wynikiem usposobienia,

darem natury a nie maniera.

Lola.

Posądzasz mnie pan o porokowanie?

Horski.

O nie panią nieposądzam! pytany odpowiadam tylko.

Lola.

Dla czegoś miałabym przed panem grać komedyc? Czy dla tego że, jak mi się wydaje, Elżbieta czy mój ojciec, mają jakiegoś projekta na pana?

Horski.

A więc domyślasz się pani tego?

Lola.

Czy pan jesteś wzujmowany?

Horski.

Czyś pani już ostatecznie do ludki roz-

Charowana? czy już nie wie ryse w nie-
i w nikogo?

Lola.

Wierzę, że bogate panny znajdują kon-
kurentów.

Horski.

Musiataś ich pami wielu odrzucić.

Lola.

Czy pami ani razu nie dało od kosa?

Horski.

Mógłbym się dosyć długo jeszcze bawić
nissyfikacją pami, ale nie chcę naduży-
wać gościnia! Naawisko pami wymie-
niono po raz pierwszy przedemną chwil
temu kilka; przyszedłem tu wezwany li-
stem do darciej mojej znajomej i narodzić,

sam z siebie jestem dość kamożnym a mał-
żeństwo z kimkolwiek przez głowę mi na-
wet nie przeszło. Czy dosyć?

Lola.

Bądź pan tak uprzejmym i popatrz mi śmi-
kąc w oczy! (Wpatruje się w Horskiego) Dziwna
rzecz! oczy pańskie są prawie uśmiech.

Horski.

Ach pani! w jakimże świecie pani żyje!

Lola.

W najbliższem otoczeniu mojego szwagra;
znam także wiele przyjaciół i kolegów
mojego ojca. Więc pan naprawdę nie masz
na mnie żadnych zamiarów?

Horski.

Łowiskiem mam jeden.

Lola.

Lola.

Ah!.....

Horski.

Przekonać panią że są jeszcze ludzie
dla których pieniędzy nie jest wystętkiem.

Lola.

A w coż on wierzy?

Horski.

W wiele rzeczy w które niestety, panią
wierzyć nie nauczono.

Lola.

Czy pan nie pretendujesz do obowiązków
mojego gubernera?

Horski.

Chciałbym je przyjąć gdybyś mi je pa-
ni sama ofiarowała, ale bez wynagro-
dzenia.

Lola.

Niczego darmo nie biorę.

Horski.

A ja nie nie mam na sprzedanie.

Lola.

I kolei ja spytam, gdzieś się pan cho-
wał?

Horski.

Przy ojcu, starym kołnierzu i matce, ko-
biecie nie z drisiejszych czasów.

Lola.

I mychowali pana na okaz przedpotopo-
wy.

Marya (do Elibiety).

Wiesz, wcale nieile im idzie! jak na
początek to nawet kupetnie dobrze! Kda-
je mi się jednak, że śniadanie w ni-
czem by im nie zaszkodziło, a ja jestem
okropnie głodna

Elibietta (jak wyżej.)

Elżbieta.

Chciałam poczekać na prezesa ale
prezes wygląda na swój apetyt także
podawać karas (dzwoni Pan wchodzi)

Podawać śniadanie. /

Pan.

Proszę jasnie pań, pan Dormund
pyta czy tu nie ma jego siostrzeńca?

Elżbieta.

Proś pana Dormunda! a śniadanie
podawaj swoją drogą. (Pan wychodzi).

Scena 4^a

Elżbieta - Horszki - Marya - Lola

potem Dormund.

Marya (jak wyżej)

Co to na mufaszek, czy już do ośmia-
dekyn?

Elzbieta. (jak wyżej)

Nie wie o niczem; przyjechał katalawic' ja-
kieś interesa finansowe i dostał się w rę-
ce Fingiera.

Marya (jak wyżej)

No, ten go urządził. N

Dormund (wchodząc)

Daruję panu, co ja mogę przekazać! -
ale kazał mi się stać czekać na siebie w
hotelu a że już druga biwsky.

Worski.

Przebach wujaszku! zapomniatem kupet-
nie kęsmy się uniośli na dziś, - w do-
mu panu tak się przyjemnie czas przepe-
dza.

Dormund.

Ta ci też nie mam za złe, broń Boże,
tylko spryknęto mi się czekać w po-

telu, tak i przyszedłem wiedząc że tu jesteś.

Elżbieta.

Skorzystam z tej sposobności aby pana zatrzymać razem z siostrzeńcem na śniadanie.

Dorinund.

A przyda się na głodny żąb! Bo ja w tej Warszawie nie dojem i nie dośpię a ciągle pan Fingier mnie kwłóczy! pisałem też wczoraj po rano i córce bo sam nie dam rady.

Jan (wchodzi)

Łasnie pani, śniadanie podane.

Elżbieta.

Proszę państwa! przejdziemy do jadłowego pokoju.

Horzki.

Horski.

Ja muszę pannie powiedzieć, mam jeszcze
interesa na nieście.



Dormund.

Santo mychodzież! a ja chciałem być
u uprzejmości pannie i przekazać trochę.

Horski.

Mam obejrzeć maskiny w składzie. Za go-
dzinę znajdzie mnie wuj w hotelu.

Dormund.

Ha! no to i dobrze. Choć niegrzecznie to
przepraszam pannie i po jedzeniu zaraz tam
przyjdę.

Lola (do Horskiego).

Czy pan uciekasz?

Horski.

Ja nie uciekam nigdy! niechę tylko us-

prawiedliwiać domystów pani.

Lola (jak wyżej)

A jeśli przyznam, że się pomyliła.

Horski. (jak wyżej)

Popelnisz pani błąd, bo z kolei zach-
wiejesz wiarę w szczerość tego coś mówi-
ła poprzednio.

Lola (jak wyżej)

To słusze! nie zatrzymuj pana. Mo-
że się jeszcze spotkamy. -

Elżbieta. (do Horskiego)

Czyto, nie chcesz nam pan poświęcić pół
godzinki czasu?

Horski.

Nie mogę; কাজі mam dużo, jak zwykle
wiesniak w mieście. -

Elżbieta (jak wyżej n. stronie)

Eli bieta.

Więc się panu nie podobata?

Horski (do Eli biety).

Przeciwnie i mam też kiel do pani iśś mi
w jej oczach wstrętną karatą odgrywać rolę.

Eli bieta. (jak wyżej)

Santo, gdzie was się pan! panie Stanisła-
wie, jām na to nie nasturzyła.

Horski (jak wyżej).

Wierzę, że zrobiłaś to pani bez rozmyślu
i dla tego też tylko.... do widzenia (głośno)
Panie pozwolać się pożegnać! Do widzenia
wyjasku na godzinę. (wychodzi.)

Marya (do Eli biety).

Cóż to, on ucieka? dziwny konkurent!

Eli bieta (do Maryi).

Ale powróci, bądź spokojna (głośno) No,

panie Dormund podaj ramię hrabini
i przejdziemy na śniadanie.

Dormund.

Ł największą przyjemnością. (podaje ramię
Maryi, z którą wychodzą na lewo)

Lola.

Dla czego nie powiedziałaś mi, że to in-
ny człowiek jak tamci, że on o ničem-
nie wie?

Elżbieta.

Bo byś mu się wydała niewykazna, a
tak uderzyłaś go oryginalnością. Wyśledzi
podróżników, a takie rozdrażnienie kaw-
ske się dobrze kończy. Bądź spokojna,
ja się znam na tem, powróci Tagodny
jak baranek. Lola.

Lola.

Kto to wie!

Elżbieta.

Ręczę ci za niego! zrobił na nim wrażenie ogromne! A on, jakże ci się wydał?

Lola.

Nie wiem! chodzi mi o to, jak ja się jemu wydałam.

Elżbieta.

To dobry znak! zdaje mi się, że się porozumiecie! No chodźmy na śniadanie!

~~Napisał~~ (wychodzą)

Scena 5^a

Limburg, Hugo.

Hugo.

Ależ przy najlepszej woli z mojej strony to się tak łatwo zrobić nie da. -

Limburg.

Tak to nie da? co to jest nie da! przecież
nie chodzi o to abys' go doktor oglądał
tak dokumentnie! Dobacz go pan tylko
powierzchownie i powiesz mi, czy nie su-
chotnik albo wątrobiany? to przecie
odraru widać! Przy okazji spytasz go
się konsyljarz o serce i koładek, no a
już z resztą, to zdam się na los.

Hugo.

Bój się Boga, mój przecie, jankie tak
można badać nieknanego człowieka!

Limburg.

Co to jest nieknanego, kiedy on ma
być moim rząciem? Jesteś pan, czy
nie jesteś naszym lekarzem domo-

mym?

Hugo.

No, jestem, ale....

Limburg.

Więc jeśli pan jesteś, to musisz leczyć
wszystkich, którzy należą do naszej fami-
li! On ma do niej należeć, więc go pan
kocha! To leży w pańskich obowiązkach!
Dlatego, to już wszystko ułożone! Kobi-
etom wie o tem i czeka pana! On tam
jest sam z moimi córkami! Jedzą śnia-
danie. Pan kocha z niemi, a żeś mnie dy-
ktę nakazał to kochaj i moją prozę, a jak
tu potem wrócić żeby się z nim porwać, to
mi powiesz swoje o nim zdanie.

Hugo.

No jeśli ja myślałem, że będę wypełniał

podobne obowiązki! dawać opinie o kwe-
stjach na życie!

Limburg.

Lepiej, niż potem dopomagać do rozmo-
w!

Hugo.

He! skoro pan chcesz koniecznie, idź
jeść śniadanie! Więc on tam jest na-
 pewno, sam? żebyś się nie pomylił.

Limburg.

Ale nie może być pomyłki, bądź pan
spokojny! Szukaj moim, rozmów się pan
z nim trochę na osobności i wybadaj go
dokładniej. No, do widzenia.

Hugo.

Do widzenia! (Hugo idzie na lewo, Lim-
burg ku drzewom w głąb, w których spo-

tyka Pimbeche'a).

in Rura

Scena 6^a

Limburg - Pimbeche

Pimbeche.

Przepraszam pana, czy tu niema mojej żony?

Limburg.

A to ty, mój kuzin! w porę przychodzisz.

Pimbeche.

To papa teść! w pościechu nie dojrzałem!

Czy Marya jest tutaj? zostawiła mi kartkę że będzie tu na śniadaniu.

Limburg.

Ale ty nie zostawilesz jej kartki, że wyszedłszy wczoraj z domu dopiero dziś po południu powrócisz.

Pimbeche.

Przejdźtem na kolej! Przejechał Ma-

rokanin chciałem go widzieć w drodze,
jako konsul, tymczasem spóźniłem się
na pociąg i pojechał dalej.

Limburg.

Mój kochany! ja od tylu lat jestem
konsulem Chilijskim, a jeszcze żadno-
go Chilijczyka nie widział i dobrze mi
o tem! Coś ty swoich Marokanów po-
trzebujesz oglądać tak gwałtownie.

Pimbecke.

Chciałem mu przytroczyć wiesz! Niech nie
mówią że jestem konsulem od parady.

Limburg.

Wiesz przypadać po nocy!... mniejsza
o to! Siadaj no tu, chciałybyśmy cię o
coś spytać.

Pimbecke.

Pimbecke (do siebie).

Pewno o dom. Dobrze się wybrał.

Limburg.

Znasz ty krakia rodzinę Horstkich?

Pimbecke.

Horscy, herbu Gryf? znam.

Limburg.

To stary ród?

Pimbecke.

Ho, ho! wywodzą się od Gedymina.

Limburg.

Od Gedymina! patrzaj! I tak krótko się
nazywają! Więc to jest wielka rodzina?
skoligaconia?

Pimbecke.

Le wszytłkimi.

Limburg.

No, ze mna, dotąd nie, ale może będzie!

Pimbecke.

Pimbeche.

Cóż to, małżeń'stwa?

Limburg.

Sz, pewne projekta na Lole, i chciałbym
właśnie żebyś mi w tem dopomógł, ja-
ko mój xięć.

Pimbeche.

O przyjemności! o cóż to chodzi?

Limburg.

Przedemskystkiem znasz go? Na imię
nu Stanisław.

Pimbeche.

Nie znam! A! Stanisław?... zaraz! Był
tu jakiś Stas Horszki w Warszawie przed
kilku laty. Trzymał się Łelskiego; on
go w świat wprowadzał. Ale to zupełnie
młody człowiek i przystojny. Jeśli ten

sam to x tego nic nie będzie.

Limburg.

A to dla czego?

Pimbeche.

Bo on podobno kamoiny.

Limburg.

Cóżto? Czy ja mam koniecznie córki wy-
dawać na bankrutów i pręstarzających
birbantów?

Pimbeche.

Niby.... tak by się zdarzało.

Limburg.

Mój kochany, co ty gadasz! Uważaj, że
sam jesteś moim życiem a przecież tak
na ostatniego niedołęgę jeszcze nie wy-
glądasz i jesteś krabią.

Pimbeche.

Pimbeche.

A tak! jestem krabiaz i na niedolege nie
wygladam! Oho, z moja krewoscia.

Limburg.

O tej krewosci to tam szeroko by mo-
na mowic.

Pimbeche.

Papo tesciu! wszystko pozwalam re-
sponowac - ale moj temperament!...

Limburg.

Postawmy w spokoju twoj temperament,
mowmy o Horskim! On jest tam z twoja
konia i z Lola. Korbiczowa prowadzi
caly ten interes! Wiesz, tak jak twoj!

Pimbeche.

Tak moj (uaci) od rejenta do otarxa.

Limburg.

Limburg.

Radzi że powaźny.

Pimbeche.

Ta kawera jestem powaźny (nuci) Sz, mora-
liści których cała cnota....

Limburg.

Oczy ty przestaniessz z temi operetkami!
Koniem końców, chciałbym żebyś się z
nim poznał albo mu się przypomniał,
jeśliście się już znali; no i żebyś mi
ustadził te wszystkie historie na które
ja czasu nie mam wcale! Ach, co to
za kłopot z temi kłóciami.

Pimbeche.

Na mnie nie możesz się skarżyć.

Limburg.

Gdybyś nie był bradzi, miałbym dużo

o tem do powiedzenia! Za teraz jadę na
posiedzenie banku, wrócę tu za małą
godzinę! Pomyśl no o tem com ci mó-
wił! a może ułoić i Marya, jakiś
obiad czy wieczer. Trzeba by sprosić lu-
dź, nadać temu jakas' cecke, uroczystość.

Pimbecke (nuci).

Wspauiałość mym godłem, mym mają-
tkiem cnota.

Limburg (do siebie).

Lupetna katarzyna (głośno) Przypom-
nij że sobie że jesteś hrabia Pimbecke
księć prekesa Limburga; że mojemu i
swojemu nazwisku jesteś coś winien,
że dług ten.....

Pimbecke.

Proszę cię Papo tesciu, nie mówmy

o długach!

Limburg.

Ciepłowości brakuje! No idźcie tam i zajmij się tym Florskim.

Pimbeche.

Larax idę. Urządźmy mu festyn rozumie się na twój koszt, papo teściu!

Limburg.

Niech będzie i na mój koszt, tylko idź już. (wychodząc) O córki, córki! Co my was kosztujecie! (wychodząc)

Scena 7^a

Pimbeche potem Zelski, Fingier.

Pimbeche.

A o domu ani słowa! 'widać nie wie jeszcze! Sani się kojny robił! festyn na jego koszt i ani się skrzywił. Prxy

tej okazyj polikwiduje mu balia u Kłosi. Co to balia! to na mata! Niech i jej toaletę kaptaci! (nuci) Bez kobiet, bez kobiet to życie jest bez duszy.

Lelski. Fingier

Santo jest w „Kensicie?“, Wszak mówilem, albo koty albo Timbeche nam się wykwił.”

Fingier.

Bój się Boga hrabio, oszczędzaj głosu.

Timbeche.

Mam go pod dostatkiem! tylko katar mi nie trapi! Co słychać dobrego, panie Fingier?

Fingier.

Wszystko złe! jak sam dalej pójdziesz wymorenuj wszyscy na chorobę cukrową.

Łelski

Nie mam nie będnie! macie kielasne zdro-
wie.

Fingier

Aha mów mi pan o kielasie! Goldsilber
bauerut kupetny! młas'nie na kielasie wy-
winał kokiółka.

Łelski

Musiato być gładko wypolerowane, bo mi
jakos' kokiółek nie bardzo paszkodził. Wi-
dziatem go mekoraj w ślicznym ekwipażu,
konie prkeryskie, młina kłanomiła.

Fingier

No, to sktowiek starej daty! upada jak
rymianin, a usmiechem na ustach i
prukrywa się toż.

Pimbecke

Pimbecke.

Toga! Goldsilber rymniczin! można
umrzeć ze śmiechu! Choć, co prawda,
on miał nos rymski, taki! (nuci)
Ach co za nos, jani rós!

Fingier.

(do Łelskiego pokazując Pimbecka) No
powiedz pan i to na takich my pta-
ciny na kiciów.

Łelski. (do Fingiera.)

A kłóć wam może kupować?

Fingier.

Widzi pan, cztowiek, który wyrósł z
tego społeczeństwa poczuwa się do pew-
nych względem niego obowiązków! Oni
chcą, podtrzymać stare rody, odżywić je
nowemi sokami! Na drugą stronę są

lacy, których majątek niechawse ma
 kryte źródło, chcą się niemi pokryć.
 Sunym karzącą, brak patriotyzmu,
 charakter więcej kosmopolityczny!

Łelski.

Łdaje mi się, że to ostatnie pana spo-
 tykato, i że kiedyś dawniej, aby tym
 wieściom kłam nadać, coś około dwu-
 dziestu lat temu, chciałeś pan xmiennie
 stroje narwisko x Fingiera na Polusk-
 niewieca. Przekład był prawie dosłowny.
 Lubięciem czasu xaniechałeś pan tej
 myśli.

Fingier.

Po co to proszę pana! Na co to mani-
 festować jeśli się cztowiek w duszy cru-
 je polakiem. Kreszt, byłem wtedy tak

młodym!

Łelski.

Gna dorobku. Dzis' odeszły te mrozon-
ki! jesteś pan exłowiekiem prozytywnym.

Fingier.

Tylko bardzo osamotnionym! Miałem
sionę starszą od siebie! wniosta mi ana-
czny posag! Nie wszystko jest łatwe
na świecie! Dzis', dzięki Bogu pie-
niądze są, ale chciałbym mieć przy
sobie stworzenie młode, piękne, dy-
dyngowane....

Łelski.

Chcesz się pan żenić?

Fingier.

Gdyby można odpowiednio!

Łelski.

Łelski.

Stockfindel ma dwie córki! a nam jeszcze paru innych.....

Fingier.

Nie, nie! nie w tej sferze! Chybabym chciał pannę inaczej wychowaną, w dobrej tradycji rodzinnej, ze wsi! Nie masz to jak nasze dworki wiejskie pod względem cnoty, zasad moralnych. Czy pan zna pannę Dornum?

Łelski. (do siebie.)

Aha, tedy droga! (głośno) Nie panie, nie znam.... ale.....

Pimbecke.

Stuchajno Góriu, jeśli się nie mylę toś ty przed paru laty skapronował tutaj Stasia Morskiego?

Łelski.

No tak! właśnie bawi w Warszawie.

Pimbeche.

Także mi nowina! on jest tam z moją
konią i panną Lolą! Korbierowa coś
tam układa! Drob mi tę grzeczność i
poknaj mnie z nim.

Łelski.

Co on jest tam z pani Korbicą wzięta
go w opiekę? bravo! i ja chcę być na
tych godach! Stwórz ci hrabio, kapoknam
się ze Stasiem. Daruj mi paniu Fin-
gier! Panny Dormund jeszcze nie ma
w Warszawie, a ta sprawa pilniejsza
załatwia się pod bokiem!

Fingier.

Będzie pan robił konkurencję

Korbierowej?

Heliski.

Kto mnie, moie!

Fingier.

Pójdę i ja to kowaczyć!

Pimbecke.

No chodźmy (nuci) Naprzed panowie!
 śmiało panowie! (wychodzą.)

Scena 8^a

Dormund, Hugo (wchodzi, drzewia-
 mi z lewej.)

Dormund.

Dobra tu kuchnia u tej pani! podja-
 dtem sobie aż miło! także śniadanie
 ra dobry obiad starczy! Pan pozwoli
 co ja pozegnam, bo na mnie czeka
 siostrzeniec. -

Hugo.

Pan dobrodziej nie czuje się zmęczonym
po jedzeniu?

Dormund.

Nie, albo co?

Hugo.

Nie, tak się pytam! są osoby, które
doświadczają pewnej ociężałości po
obiedzie.

Dormund.

Ta? nie, dzięki Bogu!

Hugo.

A w nogach tak, pewnego osłabienia
pan nie czuje?

Dormund.

Gdzież! ja chodzę po polu cały dzień
razem! Ale kiedy mnie pan pyta
o to! Czy pan konsyliarz kamora-

czyteś jakąś taką symptomę na mnie?

Hugo.

Nie! widzi pan już taka natura lekarza!
chwilę musi badać, egzaminować....

Dornmund.

Panie konsyliarzu: mów szczerze! moje co
jest? Pamiętam, że onegdaj miałem Dreszkę!

Hugo.

Dreszka! ale gorączki nie było?

Dornmund.

Kto to wie! moje febra się wraca! zobacz
pan puls z Taszki srojęs.

Hugo.

Puls dobry! a trawienie regularne?

Dornmund.

Tak regularnie

Hugo.

Kaslu, duszności niema?

Dornmund.

Dormund.

Czyżby astma? kobaś pan!

Hugo.

Pluca zdrowe! Ale w nogach żadnego
ostabienia?

Dormund.

No, czasem bola, jak się schodzi! Ale
chyba na wodną puchlinę, to nie wy-
glądam?

Hugo.

Nie, bądź pan spokojny!

Dormund.

Chwata Bogu, odetchnąłem.

Hugo.

A głowa nie boliła?... migren, narro-
tów nie ma?

Dormund.

Sax nigdy nie kłam tego!

Hugo.

No a (szepce mu do ucha.)

Dormund.

At! còż znawu.

Hugo.

Sakto, weate?

Dormund.

Ldany się od czasu do czasu!

Hugo.

A ileż pan dobrodziej lat sobie liczy?

Dormund.

Ta, pięćdziesiąt i osiem.

Hugo.

Tam do dyabła! xwarjował Limburg!

Dormund.

No i còż pan konnyłarx mówi o nimie?
czy co nie grozi?

Hugo.

Hugo.

Ależ nie! bądź pan spokojny! na te lata jesteś pan doskonale konserwowany.

Dormund.

Chwała Bogu! tak ja idę do Stasia! Ale nie mi nie jest na pewno?

Hugo.

Na pewno! na pewno! (Dormund wychodzi.)

Scena 9^a

Hugo sam, potem Limburg.

Hugo.

Koniec świata! Lebym na własne oczy nie widział toym nieuwierzył! taka poexciwa fizyonomja i chce mu się w tym wieku na handel puszcząć!

Pokńnij się dźwiaz, że małżeniśtwo są kłoby
dobrane! Dźwierzyna młoda, przystojna,
pełna życia, energii a ty dźwad! Ładna
bądźcie para niema co mówić.

Limburg.

No cóż Doktorze? poknales' go? jak ci
się podobal?

Hugo.

A bardzo, bardzo!

Limburg.

Ldrów?

Hugo.

Ldrów zupełnie!

Limburg.

Był może trochę, na dwio, tak jak Sim-
beche?

Hugo.

Nie, przeciwnie! jak na swój wiek to

niechęć konserwowany!

Limburg.

Takto na swój wiek? Korbierowa mo-
wiła że zupełnie młody człowiek.

Hugo.

Ha, nie wiem jak ona lata liery.

Limburg.

Podobno nie ma trypiestu!

Hugo.

Nie mówł inaczej; przyknafe się do
pięćdziesiątki z orładem.

Limburg.

Przeszyszałeś się chyba! W takim wie-
ku! Cóż knowu? Także by mi był kicz.

Hugo.

Ta też właśnie dziwiłem się.

Limburg.

Limburg.

Podobno pochodzi od Gedymina ale niech-
by go tam dyabli i z Gedyminem wzięli.
Timbeche jest znacznie młodszy a....

Hugo.

Tę nie wiele wart!

Limburg.

Musiates się pomylić doktorze! A jancie
wygląda?

Hugo.

Skromnawaty.

Limburg.

Czasem tak siwieją ludzie wczesnie.
Ale jedyny, rzeźki?

Hugo.

Nie bardzo.

Limburg.

Limburg.

To musi być jakiś nieporozumienie
albo baba kwaryowata!

Hugo.

Je tu ktoś kwaryował, to i ja przypu-
szczam!

Limburg.

Est ou tu jessere? pójde i karar no-
bacz;

Hugo.

Nie, już wyszedł.

Limburg.

No to Lola mi powie.....

Scena 10^a

Cix, Elibieta, Marya, Lola, Kelski,
Pimbeche, Frugier.

Pimbeche.

Pimbecke (do Maryi.)

Zonusi jak cię Kocham chciałem mi przy-
tokić wiesz.

Fingier (do Loli.)

Więc kajał panuż ten piękny nieznajomy?

Lola.

Nie pretendujesz pan o mój posag, więc
i serce moje zostaw pan w spokoju.

Łelski do Elżbiety.

Tak pani widzi jestem uwiedziony o
wzrostkiem. A teraz k kolei, ja ostrze-
gam że będę go bronił do ostatka.

Elżbieta.

Probuje pan! ale katrta strata już
zruczona.

Łelski.

Mam przekucie że znajdę antidot.

Limburg.

(podchodzi do Elżbiety i odprowadza ją na
bok) Pani, coś pani mi o męża knała-
ła dla Loli! Piękny ręk dla mnie!

Elżbieta.

O pewności, najlepszy jakiego mieć
można: każdy go panu pokazuje!

Limburg.

O każdy go panu pokazuje! co pani
mówi?

Elżbieta.

Spytaj pan Loli! Lolu! (Lola podcho-
dzi do nich) Twój ojciec ma wątpliwość
co do pana Morskiego! powiedz że mu
jak się przedstawia?

Lola.

Tego kapryśkować nie mogę, że przystoj

uy.....

Limburg.

No, ale stary.

Eli bieta.

Kto to panu powieǳiał?

Limburg.

Doxtór! Doxtorre chodźć tu! powieǳie
ć czyś mi nie mówił, że on stary!

Hugo.

Ja mówię! No bo jeśli się panu podo-
ba! teraz gusta są, tak dxiwne! Mo-
że on i wtedy choć do mnie mówił.

Eli bieta.

Kto, kiedy?

Hugo.

On, tu przed chwilą.

Eli bieta.

Eli bieta.

Ależ pan go tu nie nastates! wyszedł
już wtedy...

Hugo.

A z kimże ja rozmawiałem, który był
na śniadaniu?

Eli bieta.

Stary Dormund! to jego wuj.

Limburg.

A więc doktorze so ci się udało!

Hugo.

A cóż pan chcesz, wują wziąłem
za siostrzeńca! Nic dziwnego tak
teraz konkurentów dobiéracie, że po-
mylić się łatwo.

Lastawa spada.

(Koniec aktu 2^{go}.)

*Oremore
in Nanape
im Muffen*

Akt III ci²

Act III ^{ci}

Salon u Timbethe'ów, przechodzący kolumna-
dą, od dalszych. Drzwi i prawej i lewej.
Umeblowanie pałacowe. Z przodu konet-
ki, dalej stoliki do kart. Na pierwszym
planie i lewej wielkie drewniane. Od po-
czątku do końca aktu gra muzyka
na scenie, z tańcami przerywanymi, polki
walce i kadryle. Z mro-
dnie

2 Hauboldt of
Elibier

Secunda 1^a

Elibicta, Helsinki.

Elbicta.

Więc wojna?

Heliski.

Wajna!

Elx bieta.

Eliżbieta.

Tak na śmierć i życie?

Łeński.

Aż do wrotu kaptadnika.

Eliżbieta.

Ha, ha, jaki pan jesteś naiwny! Nie
czujesz pan, że sprawa Twoja jest z go-
ry przegrana? On blondyn, ona brunet-
ka, oboje piękni, młodzi i ona ma mi-
łoty. I pan to chcesz rozstrzygnąć? Czy
myślisz, że choć na chwilę straciłam
pana z oczu, że nie znam wszystkich
wysiłków jakich użyjesz, aby go pow-
strzymać i na wieś wyprowadzić z po-
wrotem? Oj, jak bardzo Loli przyjdzie!
Bo też ile tam ognia! Idź pan dalej,
rób swoje, oblewaj go kłębami wody, my

się pana nie a nie nie boimy! A więc pan
jaki będzie skutek pańskiej kontragita-
cji? Oto słowski naciska pana podejrzewając,
że sam ostrzyłeś nęby na królewski ka-
sek, którego panu odmówiono!

Łelski.

Sarko! posztabyś panu aż tak daleko?

Elżbieta.

Ja gram z panem w odkryte karty i
przykujaę się, że zrobię wszystko, aby
ten kwiązek doprowadzić do skutku!
Nie cofnę się przed niczem.

Łelski.

Nawet przed... jakżeby to grzesznie po-
wiedzieć, przed niewinną ploteczką o
mnie? Elżbieta.

Elżbieta.

Nawet przed klamstwem; możesz pan
użyć tego wyrażenia, pozwałam!

Łelski.

Idla czego pani tak chodzi specjal-
nie o te małżeństwo? Skojarzyłaś ich
już pani syle....

Elżbieta.

Powiedziałam już panu, że gram w
otkryte karty, będę matką sekretarza,
Ja kochałam tego człowieka.

Łelski.

Pani kochałaś! ha, ha, ha!

Elżbieta.

Śmieję się pan, pozwałam i na to!
A jednak powtarzam: kochałam
go! Był to sen, marzenie i światło

tyle, ile trwają sny! Zbudziłam się roz-
 ekarowana nie do niego, ale do siebie. Spy-
 taj mnie pan dziś, czy go Kocham czy
 nie nawidzę... nie wiem! Ale to wiem, że
 musi być mężem tej, którą ja mu wy-
 brałam, bo jego małżeństwu nie inną
 ja bym nie przeciwosta. Wytlómacz pan
 to, bodaj jaś chceś, ja sama tego nie
 rozumiem. Nie jestem nadrośna; kie-
 dy widzę budzącą się na miłość jego
 dla niej, a czuję, że każda inna na jej
 miejscu gotowabym kamodować! Czy
 to przekusic, że on z nią będzie nie-
 szczęśliwym, czy wiara, że ona chciała
 tylko na jego knysły a nie na serce,

ja nie wiem. Wierz mi pan, to matier=
stwo nie jest wynikiem moich intere=
sów, jest potrzebą moich uczuć. I
strzeż się pan! biada temu, kto mi
w drogę wejdzie.

Łelski.

Nawet pańi groźby nie przeraziły=
by mnie, choć weals pani nie lexce=
wazę jako przeciwnika. Za to istotnie,
o ile pani mówisz prawdę, umiem sobie
wyttómaczyć uczucia pańi! Liczyś
pańi na to, że Horszki nasyciwszy
pierwszy ogień namiętności, powróci
do ciebie po radę, pociechę, nawspół przy=
jaciel, nawspół... Może się pani i nie
mylisz. Bądź co bądź istotnie poxy=

eę mam prawie na straconą, jeśli opa-
 strzować nie będzie mi jakiegoś sprzymie-
 renia i siły równą magnesowi ośro-
 dku drzewosy; bo nie mogę naprzeczyć,
 że ona ma piekielnie ogniste serce. Mo-
 żna dla nich skaleć, na długo!

Elżbieta.

Dręczy i pana przeciwnik! chcesz
 pan podnieść moją kandydaturę! to się
 panu nie uda. Ale co pan ma w
 tem, żeby nam przekładka?

Lelski.

Liebe der Menschlichkeit.

Elżbieta.

Ad'autres.

Lelski.

Łelski.

Nie wierzę państwu! A więc... nie lubię
matkinstw mięskawych i zasady wogół-
ności, a co do Horskiego, to wydaje mi się
to po prostu potwornem. Uważam go
za całoricką, którego ciągną w prze-
paść; obojętnego nawet ratowałbym
w tej sytuacji, a cóż dopiero młodego
chłopca, dla którego mam przywiązanie
starszego brata. To dusza młoda,
poetyczna, nie przetrawiona mętami
naszej cuchnącej atmosfery. Przypu-
szkam, że skalał droczone państwo!
na wsi ochłodził! Gdyby trafił na
dobrą kłone, urobiłby się na dzielnego
chłowiaka, na potemu warunki.

Nieskreśliwy w życiu domowem, wprowadzo-
ny w towarzystwo, które ceni człowieka
jedyną, miarą, milionów, okraszoną, kwo-
jem i butwiałych pargaminów, istotnie
może wrócić do pań, ale wtedy taki już
będzie do innych podobny, iż sama się
zdróżnia, nie go odróżniać mogła. Otar-
ja chciałam go od tego obronić: i coraz
mniej mam nadziei, żeby mi się udało.
Będzie z niego za lat parę Wieloprad-
zi, Pimberze, albo hrabia Samus.

Elżbieta.

Nie, bo on się ożeni z miłością.

Żelki.

Która kłania, bo kłaniać musi w tem
otoczeniu. i skończy się na wskroś sporem
tęcia z księciem o... pieniądze.

Elżbieta.

Przyrzekam panu, że ja wtedy stanę po
jego stronie.

Łelski.

Dobre, pani! drwij, utrzymuj się ze mnie,
urządzaj! masz pani wszystkie atuty w ręku,
ale jeszcześmy od gry nie wstali.

Elżbieta.

A więc przyzywaj pan na pomoc nie-
bieskie i piekielne potęgi! No, dalej
graczu niecierpliwy! Za idę do sali,
rób pan tu kanłęcia! Samiela, przyby-
waj! Asmodeusz także jest dyabłem mi-
łości i gry! Wezwij pan tego ducha ciem-
ności! może jest w drodze i spóźnie się tyl-
ko, bo go malują kulawym! Dowódzenia!
jak się ryć, daj mi pan znać. (wychodzi)

Scena 2^aŁelski, potem Dormund, Łofja.Łelski.

A! żeby ci mógł go wydrzeć, dałbym
za to... ba, jestem w towarzystwie bankie-
rów!... przelecycują mnie. Gdyby to był wy-
sokajny „nasz kiesz”, rozgłosiłbym, że Lim-
burg bankrutuje i ulotniłby się jak kam-
fóra, ale jego taka wieść jeszcze by bar-
dziej do niego przykuła. Tak jest sposób
oderwania młodego człowieka od Ładnej ko-
biety? Znam jeden tylko: drugą Ładną
kobietę. Tak, ale kładę ja rękę?

Dormund Łofja

(do Łofji na scenie) A gdzie się pchać
w taki tłum! (wchodzi z Łofją) Chodzi
dziecko, sproszkowany tutaj, póki nie

przetania. Widzisz, mówię, spiesz się
z ubraniem, a tyś się gubowała i o co
jest.

Łopka.

Sam temu nie winna Łateczko, że mi
z magazynu tak późno suknię przy-
nieśli.

Łelski.

Dormund sprowadził córkę! O, jaka
piękna! Czyżby dyabeł kulawy tym
razem krąwił się w porę?

Dormund.

No, już ja wiem, że wy z tem ubraniem
jak kaszniecie... (spostregea Łelskiego)
A! pan Łopka tutaj. I nasz szczęście, Ło-
sia: na pierwszym wstępie spotykamy
krewniaka! Pan Łelski, widzisz, jest
nasz krewny. Ja moja ciotka, a twoja

babka cioteczna, Pokrzytło k domu, była
ka Wojskwilem, którego brat stryjeczny
był konaty.... A k kimże to on był konaty?

Heliski. (do Łofji.)

Łaním ojciec przyprotni sobie całą genea-
logję, czy niekies prau' uinać prawa mo-
je do kupyństwa ka dowiedzione, tak, a-
bym je natychmiast mógł wykonywać?

Łofja.

Czele mi one kędnają, opiekuna i prze-
wodnika w obsem towarzystwie, uinać je
k przyjemnością. Mama wyprawila mnie
do Warszawy w towarzyście naszej są-
siadki, bo sama stała i nie chciała ro-
stawiać gospodarstwa bez opieki, a tat-
ko pisał ciągle, że mu tęskno i nudno;

lękałyśmy się nawet czy nie chore. Tym-
czasem rastałam tu łatwo w ciągłych
wirytach, festynach, balach, czegośmy
się najmniej spodziewały. Dziś pierwszy
raz w życiu jestem na balu; wyobraź
pan sobie, jakaż muszę mieć tremę.

Łelski.

Okegoń się pani lęka?

Łofja.

Ah, mój Boże! wszystkiego. Porywając
od sukni, którą dopiero niedawno przy-
wieśli mi z magazynu, wszystko tu jest
dla mnie nowem i nieznanem. Na sa-
ma sobie wydaję się jakaś kmicziona, in-
na, prawie obca osoba. Ah, porwól pan!
widzę tu wielkie lustro! nie miałam

tego w hotelu! Muszę się przypatrzeć
sobie i nauczać ruszać w nowem ubraniu.

Łelski.

Młoda paniénka w sukni balowej jest
jak ryba w stawie.

Goffa.

Czy pan znajduje, że mi w niej do twarzy?
Powiedz pan szczerze z tytułu pokrewień-
stwa.

Łelski.

Z tytułu mającego osę, napewniam pa-
nią, że wyglądasz zachwycająco. Kreszt
sama to pani widziała! Najlepszym domo-
dem ten uśmiech, który odbija się tak
słownie w zwierciadle.

Dormund.

Aha, przypomniałem! Wafarill nie

był konaty z Pokrzytówną tylko Pana-
siewicz, jego brat cioteczny, miał Kry-
gielewiczównę.....

Łelski.

Krygielewiczównę czy nie Krygielewi-
czównę, mniejsza mi tam o to! dość,
że jestem krewnym pani i od tego nie
odstępuję.

Dormund.

A ktoś o tem mówi! Nawet poręczniej
mi będzie, że ja wprowadziła na salę,
a ja pójdę za paniami! Myślałam już
przez lokaja karać wywołać Stasia,
ale kiedyś ty się tu pojawił, to i prowadź.

Łelski.

Chwilną jeszcze, niech tańczyć przestaną,

bodysmy się tam nie dostali, a raczej łob-
leta pani uciariałaby na świeżości! Fro-
ba skanować pierwszą suknię balową.

Łofja.

Dziękuję pani! Greszta nie znam ni-
kogo i musiałabym się śmiać piętuskie, jak
się to mówi po krakowsku o pannach,
które nie mają skrzyścia do tancerzy.

Żelski.

Bądź pani spokojna, nie będziemy śiali
piętuski! Wszak oprócz mnie znajdzie
pani tam kuryma, Stasia Morskiego. (d.
s.) Próbujmy wstępnego ataku. (gl.) Tylko,
że on bardzo kająty.

Łofja.

Jak to kająty, na balu! tańcem?

Żelski.

Łeński.

Nie.

Łofja.

Więc skemre?

Łeński.

Crarnem ocrani.

Łofja.

Łakochauy! ah, jak to dobrze!

Łeński (d.s.)

Nie xmartwiona. Chybitem. /gt:/ Dla
czego dobrze, proszę paui?

Łofja.

Bo się ożeni i będę miała towarzysko-
z jego komy na wsi.

Łeński.

Wie paui, a ja sądzitem

Dornuud.

Muxyka grać przestata, Ła chodimy

~~muxyka~~
przestaje

do kuć w taniec i kasyna!

Łelski.

Stęże, panu! (d. s.) Taka piękna i nie go
nie kaje! To być nie może!

Łofja.

Larax, pozmól mi pan jeszcze obejrzeć
się w lustrze.

Dormund.

O! sobie stary chce się brawu,
formalnie jak babie prosięcia. Prosię
w kwik, baba w krzyk, a stary Dormund
także niespełna rozum.

Łofja.

No, jestem gotowa! w Smię Ręca i Sy-
na... Chodźmy. (wchodzi do sali) vis. 7

Scena 3^{cia}
Celi

Flus

Herabina Gabriela, hrabia Samosk.

Gabryela.

Więc to tutaj mamy grać w wista?

Stanisł.

Tak mi powiedziano przynajmniej.

Gabryela.

Czy będziesz grał z nami?

Stanisł.

Nie! popatrzę się chwilę na tańczących, a potem wracam do siebie. Mam jeszcze zajęcie w domu.

Gabryela.

Czy wolno wiedzieć, jakie?

Stanisł.

Muszę przejrzeć bilanse fabryczne i podpisać protokoły.

Gabryela.

Wiesz, że ta twoja pracowitość jakoś

podjrzanie mi mygląda! Gdybym była
panią, żoną, chciałabym wiedzieć te księ-
gi buchalteryjne, które tak troskliwie
przeoglądała.

Tanusa.

Sproszkowały się to pani, a życzę, że-
byś pani w nich nie podejrzanego nie na-
lała.

Gabryela.

Słotes pan jednak dla mnie kagadką i
byłabym bardzo rada wiedzieć prawdę o
panu. Zwyczajna ciekawość starej kobie-
ty, w moim wieku zupełnie dozwolona.

Tanusa.

Najchętniejbym jej też radość uszywił,
gdybym mógł domyślić się, o co pani
chodzi właśnie.

Gabryela.

Gabryela.

Ależ o całą swoją historję! Książę
się nagle u nas, niewidziany od lat daw-
nych i kienisz się z córką Groimowicza.
Z początku myśleliś mi wszystko, że je-
steś krumnowany. Ponieważ byłeś pan jed-
nym z pierwszych, kawierającym podobne
małżeństwo w naszym kraju, radziła
się od ciebie odzuma; myśmiewając cię, ob-
mariają; pan kłosisz to wszystko z
olimpijską pogodą. Po ślubie nie o tobie
nie słychać! gospodarujesz pan na wsi,
zakładasz fabryki, a kronika skanda-
liczna nie o panu nie donosi. Co jest w
tem wszystkim? czyś pan tylko prze-
bieglejszy od innych i kręć się z mas-

Kujeszk, czy naprawdę jesteś człowiekiem
wyjątkowym?

Janusz.

Pragnąłbym nie być wyjątkiem, a jeżeli
nim jestem, tem gorzej, nie dla mnie, ale
dla innych. Przedkowie moi dobrze się ka-
stusowali krajowi, ale i kraj im płacił
za to; kładł początek naszym majątkom,
które powinniśmy uważać raczej za
depozyt, złożony w nasze ręce, a nie za
własność prywatną, powiększać go a nie
marnować. Lubiegiem czasu i natury
nieśpy, rozdrobniły się spadki między ro-
dzinę i gdy potęga kapitału rosta, na-
sze majątki maleją. Wpływ, stosunki
i stanowiska wysunają się powoli i

raz naszynek, kto inny nagarnia wszystko.

Gabryela.

Alex hrabio! robisz mi tu mały wykład,
nie wiem, ekonomiji czy polityki, a ja cię
prosiłam o sekret swójego życia.

Samuszek.

To cały mój sekret właśnie. Miałem
zasady, które w życiu wprowadziłem.
Mogą być błędne, mogłem się pomylić,
ale raz nakreśliwszy sobie plan dzia-
łania, nie odstąpiłem od niego ani na
jotę. Nie cofnąłem się przed obmową,
ośmieszeniem gawiedzi, nawet repro-
bacyą rodziny. Mówią o mnie i teraz:
hrabia Samuszek sprzedał się! Może w tem
jest cząść prawdy; ale czy dla siebie!

Majątek mój wystarczał mi na życie na-
 wet bardzo okazale. Namiętności gwałtowne-
 wych nie miałem nigdy; nie kłóczyłem
 się bardzo w karty, nie miałem najniższych
 kochanek. Dziś też nie wygram nawet!
 Z pewnością nie jem dwóch obiadów ani
 czterech śniadań, a nie się w moich wa-
 runkach nie zmieniło, z wyjątkiem jedne-
 go, że mam wioski wzorowo zagospodaro-
 wane i że fabryki, процeniając się dobrane,
 obogacają okolicę. Czy dzieci moje i wnuki
 będą mi wdzięczne za to, że im zostawię
 wielki majątek, przy nakwisku, w kraju
 rozstępnym, przeszedł nie śniem, tak
 jak i o tem, jak go wygrać będą. Mat-

ka ich jest uciechą, ja także, a czym na-
wisku przodków przyniosł ten matkień-
stwem kakatę, to przyszłość oceni, a
ja wierzę w przyszłość i dla niej napo-
minam o sobie. Lepiej kłócić się o dwie sily
niż sprochniać te drzewa, a najstarsze
dęby padają, gdy się ich wkręcić nie
możemy.

Gabryela.

Mysł w gruncie rzeczy mogłaby być
piękna w teorii, ale w praktyce....

Januszek.

Sax każda myśl, kościawi się w wyko-
naniu. Wszystko co ludzkie, może być błę-
dne lub nadużyte. Czyż mam nie reho-
dować do lasu, dla tego, że tam rozbójnicy
być mogą? Każdy odpowiada na siebie

i byle w sumieniu własnem czuł się ucies-
wym, a przed opinią publiczną mógł sta-
nąć z podniesionem czołem dobrego obywatela
kraju, o reszcie niech nie dba. Oto mo-
je przekonanie i sekret mego życia.

Gabryela.

Więc pan nie byłeś krajnowarą, keniąże się?

Janusz.

A la Timbecke i tylu innych? Nie, panu
i kdaże mi się, że jest też różnica między
nimi a mną. Można się ze mną nie zga-
dzać, ale skanować mnie potrzeba.

Gabryela.

A! jeszcze jedno! Kochasz pan swoją
kone?

Janusz.

Rozumiemy się i skanujemy wzajemnie;

Dać mi się, że to wystarczy i więcej warto
od komedii, którą odgrywają często ludzie
i naszej sfery, tańcząc się w mniej dobra-
ne studia.

Gabryela.

Pesteś pan idealistą! Niemniej prosto
radałbym wiedzieć, jak wygląda ta pan-
ska księga buchaltoryjna: blondynka
czy brunetka?

Murphy mak.

Janek.

Liółke w niej karty i one mi właśnie
przyponiatają stare pergamiны moich
pradków. Na jednych i drugich czytają
myśli: obowiązki. Do widzenia, pani
krabino; partnerzy pani zaraz nadejdą.

(wychodzi.)

Scena II^a

Hrabina Gabriela potem Limburg księżce
Roman.

Gabryela.

A to oryginal! Ciekawam jednak, czy on
 poruje, czy prawdę mówi.

Limburg. Roman

Przepraszam panią, żeśmy się tu przedostali
 mogli! Hrabia dał taki bal, że pół War-
 szawy tłoczy się w jego salonach. Jesteśmy
 tacy popularni!

Gabryela.

To, to widać.....

Limburg.

Moje córki bo są tak wychowane, że umieją
 dla każdego być uprzejme.

Gabryela.

Wzięły to po ojcu!

Limburg.

Limburg.

A tak, tak! wzięty po mnie! Lola bo
więcej w matkę; jest energiczna, jak to
o niej mówią, temperamentowa, ale hra-
bina to istny mój portret! nieprawda,
proszę księcia?

Książę.

Ulepszony.

Limburg.

Ulepszony! ha! ha! Książę ma zawsze
dowcipne słowo! Pożekamy na chwarte-
go czy też może siądnijemy od razu grać
z dziadem, bo coś przes Efrei mówić się
spółnia. Dobrze partyę starannie: ja,
pani hrabina, książę z rodu i książę fi-
nansoów.

Gabryela.

Gabryela.

Skusie się, udaje, że i we troje komplet dobry
stanowimy: kobieta, mężczyzna i bankier.

Limburg.

Kardzo mi przyjemnie. (d. s.) Czy ona mnie
czasem ukłóć nie chciała? (gł.) No! stwórz
państwu, sięgnijmy karty!

Gabryela.

Książę dwiada smięci.

Książę.

Tani już los.

Gabryela.

Aż się z koleś potęszył z finansami.

Limburg.

Oremu nie! Książę ma piękne nakwisko.

Gabryela.

No, bójcie się Boga! nie wykupujcie

tak wszystkich, postawcie i nam tro-
szeczkę.

Limburg. (d.s.)

Poczekaj, dotnę ja ci! (gl.) Pani krabi-
no, to kwynła rzecz, że na wszelkich li-
cytacyach ustrzymuje się ten, kto ma
chem płacić. Pochemu gramy?

Księżę.

Tak najtaniej, bo ja nie mam chem
płacić.

Gabryela.

A conto prosię pryncznej kony pan
Limburg odyskontuje należność.

Limburg. (d.s.)

To cięta baba! Żeby nie spadł po bracie,
nie miałabyś ty takiego rekoni. (siada-

~~Ja do góry w głowie.~~

Scena 5^a

Cix, Lola, Horszki. *vi^{ti} →*

Lola.

Muszę chwilę odpocząć! Ten malc był stras-
lony! Kręci mi się w głowie! Tu przynaj-
mniej swobodniej odetchnąć można. Dla-
czego pan nie siadasz?

Horszki.

I mnie się w głowie kręci.

Lola.

A więc siadaj pan tu przy mnie!

Horszki.

Nie wiem, czy otrxekiwieję.

Lola.

To znaczy że ja pana odurzam?

Horszki.

Horski.

Być może.

Lola.

Wie pan, że to niepochlebne.

Horski.

Ale prawdziwe! Sestem otwarty, czemu
pani taką być niechcesz?

Lola.

O! Ależ ja jestem aż narabyt szczerą
z panem! Przed paru tygodniami po-
znaliśmy się. Wszakże pan uciekł wte-
dy przedemną, powiedział mi wiele
szczeru nieprzyjemnych. Sądziłam, że
już pana nie zobaczę. W dwa dni po-
tem w teatrze spotkaliśmy się znowu.
Byliśmy z Elżbietą; pan przyszedł do

naszej loży. Od tego czasu stałeś się pan
odważniejszym, nie uciekałeś! I chwilaż,
jakem się dowiedział, że pan nie konkuru-
jesz o mnie i że starać się o mnie
nigdy nie będziesz, stałeś mi się pan bar-
dzo przyjemnym towarzyszem! Lubię roz-
mawiać, grać na fortepianie i tańczyć z
panem, bo walcujesz pan doskonale! Przy-
znaję się do tego wszystkiego! Czyż to nie
szkierość.

Horski.

Nie! to tylko dalszy ciąg komedyi, którą
odegrałaś pani ze mną przy pierwszym
poznaniu. Nęciś mnie pani uśmiechem,
oczekam, sobą, całą, gdy kwieśkasz się w
tańcu na mojem ramieniu, a potem dra-

Znisz sztyderstwem lub maską obojętności!
Powiedz pani, gdzie pragniesz mnie dopro-
wadzić?

Lola.

Oddajesz się pan na łaskę i nielaskę?

Horski.

Nie! Poddanie moje w tej chwili, byłoby
jak kowotwiązanie pijanego; powiedziałem:
pani mnie odurzasz!

Lola.

Niekupetnie, bo się pan buntujesz!

Horski.

Ale nie mam już siły uciekać.

Lola.

Czyżem tak straszna naprawdę?

Horski.

Powiedz mi pani, czy chcesz żebym po-
stał?

Lola.

W tym pokoju? Kostań pan, tu chłodniej.
Ja wracam do sali, bo na mnie czekają.

Horski.

Żegnaj panią.

Lola.

[d. 1.] La ostro. (gt.) Zachowałam dla pa-
na kotylion! Tylko przyjdź się pan o
niego upomnieć, bo zapomnę. (wybiega.)

Scena 6^a

Piż bez Loli, potem Kelski, Łofja potem

Fingier.

Horski.

Nie! tym razem będę miał odwagę! Muszę
wyjechać i wyjechać! Snaczej, nie byłoby dla
mnie ratunku! Parę dni dłużej i zostałbym
księciem Limburga, a wtedy co? Co ona

sama pomyślałaby o mnie? Tak jest, wró-
cę na wieś, nakopię się tam! Już nie mam
siły! Machinalnie idę na nią. Przecież
ten jeden wieczór mnie nie zgubi! Prze-
tanęzę z nią kotylioną, pożegnają się,
a jutro rano wyjadę! Tak! jutro rano
napewne!

Sub. W dyku

/ Żelński (do Łosia.)

Widzi panu, tutaj chowa się dezertor.

Łosia.

Słuchaj mnie protegujesz, Stasiu, Tadeu
z ciebie kuchynek, uciekłeś z sali. Bez
opieki pana Żelńskiego zginęłabym ku-
pednie w tym tłumie

Worski.

Daruj, kuchynko, od tej chwili jestem

już na swoje rockary, a wyjątkiem kotyljo-
na.

Łelski.

Którego tańcerek a panna, Lola Limburg.

Horski.

Ląd wieś?

Łelski.

Korbierowa to już utwórta. Lada się,
że w tym kotyljonie mask się os'wiadczyć.

Łoffa.

Takto? to tu os'wiadczyły nawet według
obmyślonego a góry odbywają się pro-
gramu?

Horski.

Łókef kartuje sobie, czyż nie widziś
tego, kukyko?

Łoffa.

Mnie się zda, że nie! bo ja nie wiem

mało tu osób poznalam, wszyscy jednak
mówili o tem, że się z panną Lolą że-
nię.

Horski.

Mówili o tem! i robiono jakieś uwagi?

Lofja.

Oh! dzieciństwo! Nie knają cię tutaj i
przypuszczają, że ty, kurczuku, mógłbyś
się ożenić dla posagu. Właśnie spie-
rałam się o to z jednym z moich tan-
cerzy, który wierzyć nie chciał, że ty
nie jesteś krukowcem. Nie wiem, co on
w tem widział dziwnego i dla czego tybyś
się nie miał żenić z miłośnią z panną
Lolą! jest taka piękna!

Lelski.

Łelski.

Ba! Stas' nie jest kochliwy! Przecież miał obok siebie na wsi osobę piękniejszą od panny Loli, a ponisimo to nie kajał się nią. Umie być praktycznym w życiu.


Lofja.

U nas w sąsiedztwie panien na wydaniu nie ma! nie mogę się domyślić, o kim pan mówi.

Łelski.

Ale on się domyśla! Tylko że ona pewno nie będzie miała miljonów panny Limburg.

Lofja.

Ja nie wierzę, żeby nim kierował interes! Jeśli się ożeni, to z miłości i będzie mógł śmiało powiedzieć.  Ratuj

Fingier.

Panno Loffo, skukam woszędzić! Już ka-
dryla kaszynaia, i moje vis-à-vis stoi
na miejscu. Proszępraszam panów, ale
muszę panią kabrać.

Loffo.

Chodźmy (do Łelskiego n.s.) Tego Dansewa
niepotrzebnie mi łatwo przedstawił!
Mógłby już sobie dać pokój.

Łelki (do Loffi.)

Ma miliony, a to wiele kaszki.

Loffo (j.w.).

Tylko nie jako kwalifikacya do tańca!
Wolałabym mniej pieniędzy i... lat. Gre-
szyć, w ogóle wolałabym tu nie być!
Smutno mi! (głośno do Fingiera) Służ
panu. (wychodzą do sali.)

Scena 7^a

Limburg, hrabina Gabryela, książę
Roman (grają w karty), Hórski, Łelski
potem Elibieta.

Hórski.

Stuchaj! wiem dla czego mnie wtajemnicz
 co myślisz! Odroż, jeżeli mnie chcesz rato-
 wać, kadiierz mnie stąd! nie daj mi ani
 na chwilę spojrzeć po ka siebie, bo nie
 rzekę ka nie!

Łelski.

Nie pomyślates' nigdy o Losi.

Hórski.

Może być! kresekta, ona dopiero niedawno
 wróciła z pensyi - przedtem była dziec-
 kiem! przykmykaitem się do niej.

Łelski.

Łelski.

A jednak, wexyscy to spostrzegli odrazu,
że ona jest przesłiekna. Fingier jej nie
odstępuje.

Horski.

Przecież nie śmiały marzyć....

Łelski.

A dla czego? jego ni^{et} o interes nie
obwinia!

Horski.

Quo^{id} wzywasz swojej broni.

Łelski.

Nie mam innej. Jeśli namy tem nie
wypale, zginiemy!

Horski.

Dla czegoż mam zginać nareszcie!
Przypuśćmy że się k^{on}ia ożenię, będzie
to tylko dowód, że się w niej k^{on}o-

chciał skalenie i że nie mogłem zrobić inaczej.

Ami mnie, ani jej nie nie zarzucasz.

Łelski.

Styszałeś, co mówił sancerz panny Łopie?

Horski.

Stupiec!

Łelski.

Stasiu! widzę że jesteś rozgorączkowany, wahający między Scyllą, a Charybdą, więc nie chcę na ciebie wpływać, bo tu trzeba własnej inicjatywy troje. Ochłodniejsz powoli, - jak się rozpatrzył w otoczeniu w jakim byś wszedł, i w tem aby cię czekało w przyszłości. Na dziś, daj mi tylko słowo, że kroku stanowczego nie zrobisz.

Now / Elzbieta.

(wchodzi z sali) Panie Stanisławie, su-

kam pana wchodzi, a tu Telemach z
Mentorem spiskują na uboczu. Ukryta,
pod postacią pana Helckiego Minerva,
czy chcesz mi powierzyć na chwilecz-
kę swojego pupila? Przejde z nim tylko
na łody do bufetu i wróce, nie naruszo-
nego.

Helcki.

Nadobna Kalipso, brońć nie mogę,
choćbym chciał.

Horcki.

Ja miałem zamiar już....

Elzbieta.

Prosić Lole, do kotyl'ona! to ułożone,
mówiła mi, że z panem tancerzy. Y ona
jest w bufecie. Pójdźmy! Do widzenia
Kryształku, Kleancie, Alceście.

Łeński

Do widzenia, szlachetna Olimeno! (Eli-
bieta wychodzi pod rękę z Horskim).

Scena 8^a

Cik, bez Elibiety i Horskiego.

Łeński.

Ah! zdaje mi się, że mnie coś dusi! He-
bym mógł, rozszarpałbym ją! I ja mam
się poddać? nigdy! Canto, z takiemi
sygnowotami w ręku nicbym nie wymy-
ślił? Najprzód ona, która mówi, że
go jeszcze kocha! potem Limburg, na-
dęty pyskatek, szukający nieciera z maz-
wiskiem i stosunkami - Lola namię-
tna, gwałtowna i w gruncie zresz-
ty może szlachetna, i nareszcie ten

chłopak młody, dzieciak prawie. I
ja nic nie znajdę, nic z tego wszy-
stkiego - nie wykombinuję! Jest Ło-
sia! gdyby go kochała! No, ale on
jej jeszcze nie kocha, a na tamtą ska-
leje! A!... a gdyby sama Lola? Tak,
ona jedna może wszystko popsuć, jes-
li mi się uda komedia! Zmieniam
front! od tej chwili jestem przeci-
wnikiem tego małżeń'stwa. ~~Ja będę~~
~~traktował o marurki, kobackomy,~~
~~czy się przed nimi nie cofną. Wybor-~~
~~ny plan, muszę go tylko obmyślić~~
~~sukcesy gotowo.~~

Scena 9^a
Ciri i Stockfindel.

Stockfindel.

Dobry wieczór, panie Łeński.

Łelski.

Dobry wieczór panu, jakże zdrowie?

Stockfindel.

Niedobre! ciągle źle z kotądkiem. 'rja-
dłem trochę majonezu w bufecie i już
mi jest ekliw.

Łelski.

A cox e Bisóem?

Stockfinned.

Jańcuś tam! prowadzi marusa! on ma
siłne zdrowie.

Łelski.

Alonso.
Spodkiewam się, że jesteście panowie
już dobrze ze sobą?

Stockfinde.

Aha, dobre! w reszty piątku obit mi

kasyera.

Żelński.

Co znówu?

Stockfindel.

Chciał od niego pieniądze! O maty-
włosie do grubej awantury nie przyszło!
Zagrał się w klubie i musiałem kaftać.
Chciał mu chciał córkę odbierać, ale
użył do mnie pośrednictwa różnych
osób. Tak pan myślisz, czy on się nie
ustatkuje?

Żelński.

Miejmy nadzieję.

Stockfindel.

No, wie pan, ale ja się boję, że jak się
na kasjerke naprawi, to się jeszcze
i do mnie wróci. Moja córka jest

bardzo ładna, ale mnie się zdaje, że on
ją parę razy poturbował; miała sinice na
plecach! zobaczylem, bo była wygorsowa-
na. On jest awanturnik!

Łelski.

Tak, trochę gwałtowny.

Stockfindel.

Dobra krew! taka już fantazja! Leby
tylko pieniędzy nie marnował. A ten przy-
szły księ Limburga, jakże on? Podobno
młody, przystojny?

Łelski.

A tak, bardzo nawet.

Stockfindel.

Powiadają, że bogaty?

Łelski.

Żeliski.

Co to... to mylą się trochę!

Stockfindel.

To nie ma majątku, tak jak Bis'i
Pimbeche?

Żeliski.

Niestety! kłaje się że nie! Ma podobno
mniej jak nie, bo długi.

Stockfindel.

Brzydki defekt.

Żeliski.

No, Limburg to popłaci, choćby ich by
to jak najwięcej.

Stockfindel.

Tak najwięcej! To się sprzykrzy.

Żeliski.

Tam nie sprzykrzyło się jeszcze.

Stockfindel.

Stockfindel.

Wszystko nie sprykrzyta! co to jest nie sprykrzyta! Mnie to już męczy, gorzej niż kołaski. Panie, ja mam jeszcze dwie córki i mam ochotę wydać je za mąż, ale gdyby się trafił podobny do mojego księcia, chciałby księżę krwi królewskiej.....

Łeński.

Odmówiłabyś panu mu?

Stockfindel.

No, nie! księciu się nie odmawia! ale ja muszę mu nie za drogo kosztować, tobym mu po urodzeniu pierwszego syna, córkę odebrał.

Łeński.

O, to się narywa być praktycznym.

Stockfindel.

Tak też jestem praktycznym. Tylko że te

kobiety to tak przywiązują się do mężów.
Wie pan, że moja córka to jego kocha,
choć on ją bije. No, ale to piękny mąż-
czyzna. Aż, żeby on się ustatkował! on
i mój kochaćdek.

Scena 10^a

Ciż i Timbeche.

Timbeche.

Papa teściu! Papa teściu! gdzież jest
Papa teści?

Limburg.

Testem, jestem! (do krabiny i księcia)

Przepraszam państwa na chwileczkę.
(do Timbeche'a) Co się stało? czy już
się oświadczył?

Timbeche.

Nie! ale prezes Efrimowicz przyjechał.

Limburg.

Co? sam Groimowick? biegnę na spotkanie! państwo darują. (wychodzi.)

Gabyela.

Naturalnie, trzeba godnie przyjąć jego królewską mość: milion.

Pimbeche (do Łelskiego.)

Wiesz, Doskonale idzie. Stas ciagle przy Loli. Może już przy kolacyi wypijemy zdrowie narzekających.

Łelski (do Pimbeche'a).

Nie śpiesz się jeszcze, bo ja wprxód muszę się porozumieć o warunki z teściem.

Pimbeche (j.w.)

Jakto o warunki?

Łelski (j.w.)

No, o posag! Stas nie chce być na

jego tasce, każda wypłaty gotowizny
przy intercyzie!

Pimbeche (j.w.)

Co, co? ja nie kładłem, a on....

Kelski (j.w.)

On się myjej ceni! można go brać,
albo nie brać.

Pimbeche.

Ee! to jeszcze kobaczkiny! dobrze też
mię uprzedził! powiem ja teściowi.

Scena 11^a

Cix i Marya, potem Horszki, goście
w końcu Limburg, Egorimowicz.

~~Marya.~~ Marya. Horszki. Gome

(przechodzi bokiem do księcia) Nie mog-
łam być wczoraj, miał być cały dzień
w domu. -

Książę. (do Maryi)

A ja czekam.

Marya. (p. w.)

Przyjdę jutro! uwymy anas! hrabia będzie miał czerwony krawat (przechodzi na pośrodku sceny) Wiecie państwo, Elżbieta mówiła przyjechał.

Horski.

Stum gości aż tu mnie wyparł! Dla czego tak wszyscy biegają na spotkanie tego pana?

Stockfindel.

Przepraszam, pan z prowincyi.

Horski.

Tak, panie. Jestem Horski obywatel z pod Grodu.

Stockfindel.

A ja Radostaw Stockfindel, Dom Stock-

findel i kompania. Teści Wielopradzkie-
go. To pan nie wie dla czego bieżą
naprzeciwko pana Efraimowicza? On
jest prezesem dwóch banków, ma kan-
tor w Petersburgu, w Moskwie i Odessie.

Horski.

Cóż stąd?

Stockfindel.

Cóż stąd! (do siebie) Oj jej! Limburg
będzie miał drugiego, głupiego księcia.

~~Lim~~ ^{Wasyli}

Limbeche (nuci.)

Łuk się zbliża, już nadchodzi.

(Cały tłum gości ciśnie się naprzeciw Efrai-
mowicza)

Limburg.

Proszę państwa! Miejsca! miejsca
dla pana prezesa!

Stockfinckel (do Horskiego)

Oto wielki pan, co to jest pan prezes
Eroi mowick!

Kasztora spada.

*Lola
m. fortep.
m. skł. i fortep.
J. Kanczo*

Koniec aktu trzeciego.

Akt 4^y

Salonik dający widok na ogród w mi-
skaniu Limburga. W głębi wejście od
ogrodu, z lewej oranjezowa. Za podnie-
sieniem kastory, Lola gra na fortepia-
nie, Horski stoi oparty na jej krześle.

Scena 1^a

Lola, Horski.

Horski.

O jeszce! jeszce chwilkę!

Lola.

Chwilka trwała dość długo, a nie mogę
tak zostawić naszych gości. I tak je-
steśmy już sami.....

Horski.

Niewiem, czy parę minut.

Lola.

Przypuśćmy trochę: kwadrans.

Horski.

Co się pani tak długo wydało!

Lola.

Ależ ja nie mówię o moich osobistych
wrażeniach, tylko o tem, co powie sobie
inni. No! przyknaż pan, że ja jestem
dobra. Dziesiąty raz co najmniej reę-
nask się pan ze mną. „Daj mi pani
kwiatek na pożegnanie... daję!”. Zagraj
mi pani Chopin'a... gram! Pan tym-

czasem nie odjeżdżasz, ale za to kompromi-
tujesz mnie fatalnie! Co powiedzą o mnie
ludzie, jak pan odjedziesz... na prawdę!

Horski.

Pani wiec dobrze, że ja już nie odjadę.

Lola.

Ah! namyśliłeś się pan... nareszcie.

Horski.

Oczy pani tego nie przewidziawszy oddawna!
Toczyłem z sobą walkę, bo wiem pani prze-
cie, że nie mogłem być takim, jakim pa-
ni sama przedstawiałaś mi się sobie w
pierwszej chwili. Przy pani kłopotujęm
o przyszłość! Opanowawszy moją głowę,
serce, zmysły, upajam się swoim schwie-
niem; oczy twoje poprowadziłyby mnie
na koniec świata! Kiedy sam jestem,

myśle, co powiedzą ludzie: Horszki sprzedaje się córce bankiera! I jak ich przekonąć, że to nieprawda, jak im dowieść, żeś ty mnie oskarżowała!

Lola.

A cóż nas ludzie obchodzi! Tak, przyznaję panu, że i ja podzielałam opinie świata i ja sądziłam, że my wszyscy jesteśmy przeznaczone do odnalezienia światła w krótkim wydartym kawałku naszego życia. A jednak czuję, że ja jestem lepszego losu warta; mam przecież coś w głowie i coś w sercu nadziei... no, jestem narodziła, widziałam się w lustrze dość przystojną. Z tem lustrem zabawie miewałam

rozmowy! Mówiłam do tej, która tam
 stawiała przedemną: „Widzisz, Solu, da-
 matoby się, że możesz się podobać a tym-
 czasem nie, nie tudy się dźwieszyno! Trój-
 narieczony będzie bardzo dobry, jeżeli ra-
 chy wybaczyć ci trochę pochođenje i weź-
 mie cię jako dodatek do... posagu.” Nie-
 prawda, że miałam przeciw czemu się
 buntować? o! i buntowałam się też.
 Spytał się pan mojego ojca, siostry i
 Elżbiety. Mężczyzna, który się sprze-
 daje, jest niekremny, powtarzałam
 im zawsze: ja takim pogardkam! Nie-
 prawda że miałam słuszność?

Słowski.

Horski.

Tak samo i ja myślę i dla tego chcia-
łem uciekać.

Lola.

A jeśli ja panu wierzę....

Horski.

Tak, ty mi wierzyć, ale gdybym się
spotkał z człowiekiem, któryby mi ru-
cił ten karakt w oczę, dziś lub kiedyś ko-
wiek... O! Lolo! coś ty ze mną zrobiła
i jak ja cię muszę kochać, kiedy o tem
kapouinam!

Lola.

Coś pan powiedziało? powtórz pan.

Horski.

Ze cię kocham, kocham!

Lola.

Lola.

To ładnie brzmi, prawie jak muzyka....

Horski.

Oh! słyszeć to z ust twoich, patrzeć w twoje oczy, pić oddech twoich ust! Co mi śmiał, co mi ludzkie, byłeś ty była moja!

Lola.

Węc się pan zdajesz na łaskę i nielaskę?
Widział pan, jak to kłóć karmić się!
Będę męprawniastomyślną! przebaczę panu
i....

Horski.

Dokończ!

Lola.

Nie! mówmy serio! Dla panu wierzę!
Teraz nawet ta duma twoja i ten opór
mi się podoba! Dla chęć, żebyś był ambi-
tywnym i nie pozwolił się podejmować!

Gdybyś mnie znówił, w jednej chwili znie-
nawidziłabym pana! W moich żyłach
płynie gorąca krew wschodu! Ja nie
umiałabym się poddać i rezygnacyi
losowi! Albo uczucie moje bez granic,
albo nienawiść i pogarda! Nieraz kas-
tałam się nad matkiństwem mo-
jej siostry, Wielopolskiej... innych.

Wszak ich mężowie serdecznie przed nie-
mi musieli grać komedye miłości, przy-
najmniej przed ślubem! Gdyby nie mna, tak
było!... Ale nie! ja jestem energiczniejsza,
przeukliwiera od nich. Zresztą, im wystar-
czyły narzeczka, mnie potrzeba było
duszy! Wszak ja kochałam!

Florski.

Horski.

O tak, wierz mi Lola, że....

Scena 2^a

W

Lib.

Cór i Kelski potem Elżbieta.

Kelski.

Przepraszam! może przeszkadzam pań-
stwu?

Lola.

Cór knowu! prosimy. Właśnie mieliśmy
przejechać do ogrodu, tylko pan Horski knowu
zegnął się tak długo.

Kelski.

Ażaby był wielki, żebyście państwo
wyratowali pannę Łopę od Fingiera, któ-
ry ją kradnie! Pani Elżbieta gdzieś księ-
kę. Wujaszek Edmund za to po raz
piętnasty opowiada hrabińce Gabryeli

interes swojego browaru. To już musi być
familijne, bo i etas' kdaś mi się, już
piętnasty raz kęga się z panią. Tak
na trzytygodniową znajomość, to dosyć.

Gola (do Horskiego)

Tatrz pan, to my dopiero trzy tygodnie
się znamy.

Żeliski.

Niktby tego nie powiedział, patrząc na
pani'stwa; rozumiecie się tak dobrze;
przynajmniej tak mam się kdaś.

Horski.

Takto! przyrzekasz....

Żeliski.

Ta nie nie przyrzekam! Widzi pa-
ni, on już się boi; co to jest mieć su-
mienię nie czyste!

Lola.

Podziękuję pan pana Stanisława?

Łelski.

A pani?

Lola.

~~Arbets~~

Ta nie.

Łelski.

To ile! strzeżonego pan Bóg strzeże!

Eli bieta.

(wchodzi z prawej) Ta też strzeżę tej młodości, żebyś ich pan nie urzekł.

Łelski.

Ariman i Oromurd! Tak my się zawsze w porę spotykamy na starowisku.

Eli bieta.

Paniśka najpiękniejsza sługa była tam, za temi drzwiami.

Łelski.

Podnożek pani za temi, w orankach.

Elżbieta.

Więc pan patrzyłś.

Łelski.

A pani słuchałaś?

Elżbieta.

No! spodziewam się, że pan dałeś na-
wygrane.

Łelski.

Choćbym niechciał... muszę!

Elżbieta.

Paniśka udana rezygnacya nie kłodzi
mię wcale, ale istotnie słyszałam z tam-
tąd jeden wyraz, powtórzony kilkakrotnie!
Brzmiał on tak dziwnie, że nagłymi
wzruszeniem pańskie sarkazmy! Widział
pan, nie patrząc na nas, nie wiedząc, że
tu jesteśmy. Układaj pan swoje in-

trygi i spiskuj dalej; ja tymczasem dzie-
ci wyprowadzę na fraukę. Lolu! czy
nie przejdziecie z panem Stanisławem
do ogrodu; twoi goście dziwią się pewno
takiej długiej nieobecności?

Lola.

Max stusnuje, zapomniatam o nich....
(chodzi do Morskiego) Chcesz pan, żebym po-
mówiła z ojcem?

Morski.

A prawda! o tem zapomniatam! Ja sam
z nim pomówię! Panno Lolu, proszę o
pani rączkę... do ogrodu!

Lola.

(podając mu rękę) Tak pan ładnie rączkę
tes! (wychodząc)

Elzbieta.

(idzie na nieмі, od progu kwraca się gestem
do Łelskiego) Bon soir monsieur Panta-
leon! (wychodzi.)

Łelski.

(idąc na Elzbieta) Przecież bez drwiny
nie ma wesela i ja na tych godach być
muszę! (wychodzi.)

Dzi 26

Scena 3^a

Łofa, Fingier wchodzą, ze drzwi od
orazery.

Łofa.

(trzymając w ręku kilka kwiatów, Fingier
podaje jej noży). Ależ pan miściszek o-
razery dla mnie.

Fingier.

Nie nie skodzi, to cudna! Wskupem

rzęku młaciewiej kwiatom, jak w paui dro-
bniuchnej rączce! Czyż nie powiedział nasz
poeta: Idź kwiecie do kwiatu!

Łośja.

Nie pamiętam takiej pocy! Nie wie pan,
gdzie on są?

Fingier.

Kto taki?

Łośja.

Stas' i panna Eleonora!

Fingier.

Szczęśliwy ten pan Stas', że paui ciągle
o nim myśli.

Łośja.

Ciągle!.. cóż nowego! Brat, jest moim
bliżkim krewnym, a na wsi widywaliś-
my się prawie codziennie! Nie dziwne-
go, że mnie - zajmuje bardziej, niż lu-

Ocie obey, lub mato ruani!

Fingier.

Gdybys' nas też pani bliżej i lepiej poznać chciała.

Łoża.

Ocie! miasto nie jest dla mnie ciekawe; mam go już dosyć! Dla tego też kanoszę do pana prośbę, uwolnij pan ręką jak na przódziej mojego ojca! Takbym chciała powrócić z nim do domu!

Fingier.

Twojego interes nie jest łatwy.

Łoża.

Wiem o tem; wiem też, że cokolwiek nieogłędne pozawierał już kontrakty o maszynę, z czego moglibyśmy ponieść znaczne straty. Wprawdzie jak łatwo

mówił, opierał się na pańskim zapewnieniu,
że kapitał się znajdzie!

Fingier.

Ja obiecałem się starać, ale zapewnienia,
to jest gwarancji, to ja nie dawałem. Obec-
nie jednak nie wiem, czy kiedykolwiek panią,
jeśli powiem, że kluczem całego tego interesu
leży w tej małej panieńskiej rączce.

Łopja.

Santo! nie pojmuję pana.

Fingier.

Chciałbym do pani jasniej wytłómaczyć,
ale czuję się tak wzruszonym! Widzi pa-
ni, ja Albert Fingier, czuję się wzruszo-
nym. To samo już powinno trochę pa-
ni pochwlebiać.

Łopja.

Łoſja.

Coraz mniej rozumiem!

Fingier.

Rozumiem to, że pani nie rozumiesz! Dzieć-
ko natury, wychowane na łonie natury,
pani przykrywająca się jestes do kwiatów,
niełowności, prochy! Pani! ja także znam
i kochem naszych poetów. Moje nakwies-
ko Fingier, pochodzę z nad Renu, ale
moje serce w tej chwili może przybrać
kon'cówkę ski albo ski, - to mi nie nie szkodzi.

Łoſja.

To bardzo ładnie, że pan ma serce pol-
skie i mam też nadzieję, że pan pomo-
że mojemu ojcu zakończyć układy w
Warszawie, żebyśmy mogli powracać

na wieś.

Fingier. (d. s.)

Teraz pora! Mczyłem się wczoraj cały dzień,
żebym się tylko nie pomylił (qł.) Chcę
pani wracać na wieś! ja pojedę za panią.
(dekluamuje) Pojdziemy razem na śniegu koro-
ny.

Pojdziemy razem nad sosnowe bory
Pojdziemy razem, gdzie brzośd jęszą drwony,
gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Tungfrau i słońce złote ma pod sobą,
gdzie we mgle jelen' przeklatuje skóry.
gdzie orły skrzydeł rozwianych kłutobą,
Brucają cienie na lecące chmury.
O moja luba! tam pojedę za tobą! (kmg =
exony deklamacya, ociera chustką, spocone
czoło) Uł! i coż pani na to!

Gośja.

Mówię, że uster ne Szwajcaryi bardzo
piękny i podziwiam pańską, pamięć.

Fingier

I nic więcej?

Gośja.

A coż ma być więcej?

Fingier (d.s.).

To ona widac jest poxytywistka! kasknij-
my i innej besczki. (gt.) Pani wie, że teraz
picuniaż jest ciężki?

Gośja.

Mam tego dowód na moim ojeu.

Fingier.

Pani wie, na ile mnie lika?

Gośja.

Szede, że musisz pan być bardzo bogatym.

tym, gdy się tylko do pana udał!

Fingier.

Tak pani, ja jestem bardzo bogatym! Ko-
bięcie, którą bym kochał, ja bym nic nie
mógł odmówić! Między slične miesz-
kanie, powóz, liberyę, toalety, podróże do
Paryża, szale, koronki, brylanty! Spo-
dziewam się, że pani lubi szale, koron-
ki, brylanty?

Łofja.

Nie mam ich i' xdaję mi się, że nie prze-
padam na niemi.

Fingier (d. s.)

Nie lubi brylantów. A cóż ona lubi? (gl.)
Więc pani nie uśmiewałaby się taki los?

Łofja.

Taki?

Fingier.

Postać moją koną!

Kofja.

Pańską koną! ha! ha! ha! Ha! ha, ha!

(ciągle z wybuchami śmiechu) Więc to do tego kmiernata cała ta deklamacya Stowackiego! Te wiersze były na cześć moją! I brylanty i szale i koronki! Daj pan, że się śmieję, ale doprawdy, nie mogę się powstrzymać! Muszę iść latce powiedzieć, jakim kosztem miał okupić swój browar. (śmiejąc się wybiega)

Scena 4^a

Fingier potem Limburg, Wielokradzki.

Fingier.

Fingier.

Śmieję się! 'głupia głę!' Ale Ładna! (do wcho-
^{W. K.}
~~drącego Limburga~~) Kochany prynces już z
 biura?

Wojt. Krucza

Limburg.

Śpieszyłem się do gości! Właśnie spotka-
 łem pana Wielokradzkiego, który ma do
 mnie mały interesik.

Fingier.

Nie przeszkadzam! Pójdę do reszty to-
 marzystwa do ogrodu. (n. s.) Pogadam ja
 jeszcze z jej ojcem, ale z innego tonu.
 (wychodzi.)

Scena 5^a

Limburg, Wielokradzki.

Limburg.

Siadajże, kochany panie i opowiedz
 mi, o co chodzi. -

Wielohradzki.

Mam katarę i moim łeciem.

Limburg.

Wiem coś o tem; nawet słyszałem, że
proszę do jakichś gwałtowności. Pan
podobno jesteś trochę niewstrzeżli-
wy w ręku!

Wielohradzki.

No tak! nie proszę, że parę razy się
uniostem.

Limburg.

Unioś się pan, aleś pan i opuszczał, i
to podobno silnie!

Wielohradzki.

Proszę pana, jak się szłomick ^{uniesie...} ~~uniesie...~~!

Limburg.

A no, widzi pan, to kamke niedobre!

Sanke można być, to jest nieladnie!

Wielohradzki.

To też chcę to wszystko tak skończyć!
 Spory moje z teściem trwają nadto długo!
 Postanowiliśmy iść się na sąd hono-
 rowy naszych wspólnych przyjaciół! On wy-
 brał pana i Groimowicza, ja wybrałem
 Timbesche'a i księcia Romana.

Limburg.

Ładny komplet.

Wielohradzki.

Panowie wybiierzcie superarbitra i osąd-
 zicie naszą sprawę. Po co mają być cią-
 głe nieporozumienia i skandale. Ja przed-
 stawię moje żądania, kreślę bardzo stu-
 sune, bo proszę pana, czyż to wypada,

Chęć ja, niż tak kamolnego skłowie-
ka jak on, miał wyskakiwać jego śmier-
ci, marując na dziesięciu tysiącach
rubli rocznej renty?

Limburg.

Ale pan już tyle kmarował!

Wielopradki.

Pani'ski niż więcej kmarował, a po-
mimo to pan go nie szukamiesz.

Limburg.

Oa jestem trochę kamolniczy!

Wielopradki.

A do tego do młasnie! że ja byłem w
blad mprowadzony! Cały ten interes Kór-
bickowa przedstawiał tak świeżo,
a tu żadna renta! Proszę pana,

ekstowick z narwiskiem miał się Kenić dla
nędznej renty. Przecież ciągnęło mnie do
Goldsilberówny!

Limburg.

Tam było kruczo.

Wielohradski.

Ale gdzieś tam! Kłau krutował już stracił
rak.

Limburg.

Tak, tak! utoczył się z wierzyicielami!

Masz pan stusznosć, musi mieć grubą go-
towinę. No więc, proszę pana, pomyśli-
my o tem, żeby i miłkowi było dobrze i ko-
nie też; ja się tem zajmę w tych dniach.

Wielohradski.

Alex ja nie mogę tak długo czekać!
Moji wierzycciele nie utopia się konna!

Łaprositem już Folka, żeby tu — kasneć,
a i pan Stockfindel karak się krawi!
Może bez większego kompletu rzecz da-
tały się kataluwić; po co nadawać rozgłos
tej sprawie.

Limburg.

Ona już i tak jest dosyć głośna, przez
pana! Te (pokazuje gięstem uderzenia)
klapnięcia, to one się odbiły nie ztem
echem w miejscu! Na gieldzie nawet
o tem mówili. Tymczasem jestem dziś
tak cichy! Mam gości i w projekcie
matienstwo.

m

Scena 6^a

Cix i Timbecke, potem Stockfindel
wreszcie Helski.

Pimbecke.

„Tak się masz, Bisiu (nuci) „Dla przyjaciela
spierzę i usługę.“ Tępo tęciu, czy nie ma
tu mojej kony?”

Limburg.

Nie, nie było jej dotaż.

Pimbecke.

„Dziwna rzecz! Kiedyś wychodził rano, mó-
wiła mi, że jest słaba i że się nie ruszy i
domu! Tymczasem teraz powracam, nie
ma jej! Prawda, że ja rzadko powracam,
ale zawsze, dla czego jej nie ma?”

Limburg.

Nie wiem. Pochekaj no krabio, kłóć się!
Przepraszam, co ty masz na krawacie, czy
to nowa moda?”

Pimbecke.

Pimbeche.

A tak, pewno! To już hrabina się tem
zajmuje, bo to ona swoim gustem dobie-
ra mi krawaty i wszyscy bardzo chwala.
Kłocia!... to jest nie! Księżę Roman kaw-
se podziwiał, że ja mam takie gustowne
krawaty! Spotykamy się codziennie na
śniadaniu w klubie. Dziś mi dała jakiś
czerwony, pokazuje się, że musi być modny!
sama mi go włożyła! (nuci) „~~Łezem~~
~~prześciła mi, szyć.~~”

W^o Stockfindel.

Że hrabia przyszedł to już słyszę. Tak
się ma pan preres! Aha! i pan Wiel-
kodrski tu jest!

Limburg.

Limburg.

No panie Radosławie, kile kaszynaamy! Trzeba się przywitać z kizciem.

Stockfindel.

Ta z nim bałbym się witać, w obec rozwiłających się nowych skłomności. Sexeli ktoś zaponiina się aż do tego stopnia. (pokazuje
giestem bicie.)

Limburg.

No, no! nie przesadkajmy! Taki wybryk młodości do nie jest knowu kbrodnia. Czasem tak chorobliwie ręce kogoś swędzą.

Stockfindel.

To niech je drapie, ale cóż mu mój kasyer kawinić?

Wielokradki.

Byłem rokdrańniou, przykładaż, kile mógł-
łem kblądzić. -

Stockfindel.

Bardzo jesteś taskaw! Dużo mi przyjdzie
z twojego przyznania, jakiegoś go poturbo-
wał.

Limburg.

Kochany panie, puśćmy to w nie pamięć
i przejdźmy do przedmiotu sporu.

Stockfindel.

Ja nie mam z nim żadnego sporu. Wy-
szkyl sobie jakiegos' sądu, jakiegoś poire-
dników.... albo ja wiem czego! Ładaj, że-
bym wybrać ludzi rozsądnych... wybra-
łem. Chciał, żebym przyszedł... przysze-
łem. Stawia mnie pod jakimś zarzutem -
niech mówi, ja będę się tłumaczył.

Wielopłodki.

Wielokradzki.Dobrze, zgoda! więc ~~knacknie~~ ^{knacknie}Stockfindel.

A ja stucham.

Wielokradzki.

Kiedym się kenił z pańską córką Heleną,
 obiecał mi pan dać posag, w ilości dwu-
 kroć sto tysięcy rubli, jakkolwiek utrzymy-
 wano poprzednio, że dasz pan knacknie
 więcej i istotnie, majątek pański zupełnie
 na to wystarczał.

Stockfindel.

Czy ja już umarłem i chcesz po mnie
 robić spis inwentarza.

Wielokradzki.

Nie ryzykuj panu śmierci, czyj jak najdu-
 żej

iej, ale proszę o wypłatę posagu żony.

Stockfindel.

Wiesz, potowę już straciłeś, a na drugą
daj hipotekę to ci wypłacę.

Wielohradski.

Ja wcale nic nie straciłem.

Stockfindel.

Santo, a wieś?

Wielohradski.

Sprzedano ją niżej wartości i skutkiem
tego suma pańska spadła.

Stockfindel.

No, ale ja ją wypłaciłem; przeto sto
tyięcy rubli moich tam utonęło.

Wielohradski.

Boś je pan kłó umieszcil.

Stockfindel.

To ty umiścicieś nie ja.

Wielopradki.

Proszcie, to pan stracieś, nie ja.

Stockfindel.

To był posag swojej żony.

Wielopradki.

Nie, to były pańskie pieniądze. Pan je ma u mnie, a moja żona ma posag u pana i prosi, o wypłatę.

Stockfindel (do Limburga).

No słyszałeś pan takie rezonowanie! Czy ja nie mam z czego chorować.

Wielopradki (do Limbecka)

No, powiedz że, czy ja nie mam racji!

Limbecke.

Najkupiejsza, (miej:) Honor i prawo

za swoim udziałem.

Stockfindel.

Panie prezesie, powiednie pan jemu, że
to i w Chinach takich praw nie ma i
że pieniądze tak wypłacane....

Limburg.

Prezysywiecie, panie Wielohradzki, re-
dug kodeksu francuskiego....

Wielohradzki.

A to tak! kłamiacie się na mnie! Ja
się tu kładę na sąd honorowy, a pan Stock-
findel namawia sobie swoich przyjaciół,
którzy chcą, wyrokować na podstawie
kodeksu.

Stockfindel.

(ciagle w miarę mówienia Wielohradzkie-

go chce przyjąć do słowa) Panie!

Wielohradski.

Tak jest, panie! Działasz pan nieuczciwie, kłownie przeciwko mnie; wykłęczasz się pan kodeksem tam, gdzie idzie o honor i uczciwość!

Stockfindel. (j.w.)

O honor! ja się wykłęczam, ale...

Wielohradski.

Kogo pan wybierasz na sędziów, kogo? swoich przyjaciół, bankierów, tak jak pan i ci mi prawią o kodeksie! Uprzedkiles' ich pan, możesz im wskazać odpowiednie artykuły.

Stockfindel.

Daj pan mi mówić!

Wielohradski.

Nie, panie! Pan byś znów chciał pod-
stępnie, mówićbyś pan nieprawdę!

Stockfindel.

Pozwól pan....

Wielohradski.

Nie, nie pozwól! Niech się to raz skoń-
czy!

Stockfindel. (p.w.)

Oj! niedobrze mi jest!

Wielohradski.

Aha! rozczulaj mnie pan swoją chorobą!
Dzisiaj paniśka tانتىكا, jak tylko
dopominam się o swoje prawa.

Stockfindel. (p.w.)

Moja tانتىكا, mój kolesiek!

Wielohradzki.

(bijąc pięścią w stół.) Tak jest, tatyko, powsta-
nam, do wszystkich dyablów!

Stockfindel.

O jej! rozbić kaskyna!

Limburg.

Panie Wielohradzki, uspokój się pan! Pre-
cier nie wypadła na ciałowienca i dobrego
towarzystwa, i naszej sfery...

Pimbecke.

Bisio, umityguj się! Możesz mieć stusznosc,
ale tamac' stołów nie potrzeba.

Wielohradzki.

Tak! tobie tato uspokajac' innych, kie-
dy sam masz teścia, który umie i toba wy-
chodzić. Kiedy ja straciłem wies', czy mi pan
Stockfindel drugą kupił, a tobie pan Lim-

burg już drugi dom kupuje, a ktoś go sprzedawł, kupi ci trzeci.

Limburg.

Co! coś pan powiedział?

Wielohradzki.

No, że pan mi kupisz trzeci dom.

Limburg.

To on drugi sprzedał!

Wielohradzki.

Toś pan o tem nie powiedział?

Limburg.

Hrabio! no, gadaj hrabio! czyś ty dom sprzedał?

Pimbeche.

E! od kiedy!

Limburg.

Od kiedy! od kiedy! Słyszales pan, pa-

nie Stockfindel! Sprzedał dom za sto
pięćdziesiąt tysięcy rubli, drugi dom za
150 tysięcy!

Pimbeche.

Za sto czterdzieści! nie przesadzajmy!
Za wzięciem za niego wszystkiego sto
osiemdziesiąt! Sprzedałem ze stratą.

Limburg.

Ze stratą! Za apopleksyi dostanę chyba,
wduszę się! Mieć takiego kęcia!

Pimbeche.

Papo teściu! Za nie przyszedłem tutaj
stuchać imperlynencyi, tylko pośredni-
cystę w sprawie mojego przyjaciela! Z
chwila, jak to przybiera charakter gmat-
lowy... regnam. (muci)! Zostawicie w poko-

ju,

Opruksam plac baji

I biegnę, gdzie miłość mnie wzywa.

Chodź Bisiu, pójdzie my razem!

Wielohradzkí.

Jak! w oves widocznego tej wiary pana
Stockfindla i ja krutem posiedzenie. (wycho-
dził z Pimbeschem.)

Stockfindel

On krutem w oves mojej tej wiary!... słysza-
łeś pan, panie prezesie! To już nie bólu
kobiadka, to cholery dostać można.

Limburg.

Drugi dom maruje i ja mu imperdynen-
cyje mówię.

Stockfindel.

Mam jeszcze dwie córki, jak takich jesz-

cie dostanę rozbójników, to już mnie dobi-
ją napewno.

Limburg.

Ja mam Łolę, ale to już się skończyło! dość
mi jednego hrabiego.

Łelski.

(stał we drzwiach oranżeryi od wyjścia Pim-
beche'a i Wielokradzkiego) (d. s.) Łdaje mi
się, że teraz pora. (qł:) Szanowny panie pre-
szie, chciałbym z panem pomówić.

Limburg.

Stużę panu! Czy pan wie chociaż, że hra-
bia dom sprzedawł?

Łelski.

Łdaje mi się, że mi coś o tem wspominał.

Limburg.

Nowy dom! prawie pałac! i gdzie on

możt podkłać te pieniądze?

Łelski?

Widzę, że kłq wybrałem chwilę, jesteś pan
kirytowany tą wiadomościq.

Limburg.

A ktoby się nie kirytował, proszę pana!
Przecież i ja pieniądze nie fabrykuję! Tru-
dno! kł i gniew nie nie poradzą! Słu-
cham pańskiego interesu!

Łelski?

Tu nie o mnie chodzi, tylko o mojego
przyjaciela Horskiego.

Limburg.

Panie! jeśli on ma być taki jak Lim-
becke.....

Łelski?

Pozwoli pan prozes! ja weale nie wiem,

jaki on będzie, tem więcej, że nie mam od
niego mandatu.....

Limburg.

No tak, ja rozumiem! To nie oficjalne os-
wiadczenie, tylko krok przedwstępny.

Łelicki.

Powtarzam panu, że chciałam bez upoważ-
nienia! tylko jako jego przyjaciel chcia-
łbym wiedzieć.....

Limburg.

Co?

Łelicki.

Na wszelki wypadek jakaby była intercy-
zja przedślubna panny Eleonory?

Limburg.

Intercyza! żadnej intercyzy nie będzie!

dosyć mam tej intercychy! Spytaj się pan
pana Stockfindla, jak się wychodzi na
intercykach.

Stockfindel.

Oj, kile panie, bardzo kile!

Limburg.

Mamy dosyć tych naszych księciów,
już nam więcej takich nie potrzeba, na
drogo nas kosztują.

Stockfindel.

Mój żeby był ulany ze złota, to jeszcze
bym go przepłacił, a przecie taki duży
jak byk!

Limburg.

Lola jest dość piękna na to, aieby me-
ja znalaxta dla siebie samej, a nie na

proszę; to ten pan swómu przyjacielowi
powie, że się kłó wybrał z targami i że
ja....

Scena 7^a

Ciż i Lola, Horszki.

Lola.

Mój ojciec, pan Stanisław pragnie z ojcem
pomówić.

Limburg.

Ja już wiem o co chodzi i nie zgadnam
się wcale.

Stockfinkel.

(u. s. do Limburga) Dobrze, panie prezesie,
dobrze! Postawmy się energicznie! Daj
pan dobry przykład.

Lola.

Jak to, na co się ojciec nie zgadza?

Limburg.

Na kupno nowego rzeźnia! Mam dosyć
jednego takiego nabytku.

Horski.

Panie, pan mi ubliżasz! Nie dalem
panu w niczem prawa....

Stocklindel. (j.w.)

A co! już mówi o prawie!

Limburg.

Ja panu wcale nie miałem zamiaru
ubliżyć, tylko co do intercyzy....

Łelski.

Ależ, panie prezesie, Staś wcale nie
wspominał, aby....

Limburg.

Już ja to umiem na pamięć, kto in-

nyby na niego wspomniał.

Horski.

Panie, gdyby nie pańska córka!

Limburg.

Która, pan. Kochasz! I mój kuzin Pinbeche też tak kaskymał, aż drugi dom sprzedał.

Stockfindel.

Mój cięgle to powtarza a konę bije.

Lola.

Ojcie, ależ pan Horski nie jest podobny ani do mego szmagra, ani do innych.

Limburg.

Pokrół, moja córko! by się nie znała na tem.

Stockfindel.

Stockfindel. (j.w.)

Taka młoda! ona jeszcze tego interesu
nie rozumie.

Horski.

Ale ja proknałem, panie Limburg, jak
sromotną w pańskich oczach odgrywam
rolę. Wziąłeś mnie pan za handlarza,
jak innych! Sądzisz pan, że proponu-
ję pani sprzedać najwiskiej siebie i
że prochyłochę, targować się o cenę! Po-
myłłeś się pan, ale nie dziwię się pani
wcale! W komedjach i dramatach, które
się tu rozgrywają, wypieć oszukani, a
my oszukujący i nasza to wina, że nie
wierzymy w uczucie tam, gdzie doświad-
czenie nauczyło nas widzieć interes.

Panno Eleonora, daj mi! nie mogę już z
ojcem paui mówić o tobie! Onby mi nie
uwierył i ja już nie uwieryłbym sam
sobie. Regnam panią. (wybiega.)

Scena 8^a

Limburg, Stockfindel, Kelski, Lola,
potem Elżbieta.

Lola.

Mój ojciec! ja nie wiem, co ci mam powie-
dzieć! Ojciec nie słuchaj, że to człowiek -
słabutki! że on mnie kochał i żeś ty
wykopał progi między nami! Serce
mi rozdarte, ojciec, i płacz, żeś się uro-
dziła moja córka.

Limburg.

Lolu! dziecko! słuchaj! Ja nie wiedział-

Tem, że on taki ambitny! Zapomniatem,
że on krewny Gedymina! Lolu, ja to
naprawię, kobasyska.

Lola.

Nie, mój ojcie! tego już naprawić nie
można.

Limburg.

Dam mu trzy domy jak będzie potrzeba!

Lola.

Ojcie! gdyby on był do kupienia, ja bym
za nim płakała.

Łelski. (d.s.)

Łał mi jej! może jej serce warto więcej
niż moje upokorzenia!

Eliścieta.

Co to jest! co się stało! Kłowski wybiegł
stąd nieprzytomny, nie kręgał się & na-

mi.

Lola.

Poszedł i nie wróci.

Elżbieta.

(do Łelskiego) To pan krobicieś! Coś mi pan powiedział?

Łelski.

Pokażem tu niwieraśco magiczne i powiedziatem: patrz!

Elżbieta.

Leż w niem kobaszył?

Łelski.

Siebie.... niżej.

Limburg.

(do Elżbiety) Pani, to trzeba koniecznie naprawić! Lola by to przekhorowała; ja mi dam ile chcesz posagu.

Elzbieta.

Aha, spróbuj, choć to będzie trudno!

Stockfindel (d.s.)

Oa myślałem, że on głupi, a on naj-
sprytniejszy ze wszystkich! Tadaż mu
ile rzeczy i jeszcze go się będą prosić!
Oj te kobiety, kobiety! I pomyśleć, że
ja mam jeszcze dwie córki na wyda-
nia, a taki stary kociądek.

Castoua spada.

Koniec aktu IV-go

Akt 5^{ty}

Ten sam pokój u Limburga.

Scena 1^a

Lola, Lofja.

Lola.

Z tego co pani mówi, wnioskuję że jesteś na-
prawdę dzieckiem szczęścia.

Koffa.

Ham do niego o wiele mniej warunków
od pani.

Lola.

Tak, to prawda! my mamy bale, rauty,
teatr, koncerty, kabawy dobroczyne i
co tam jeszcze? już nie pamiętam! W
tym wırce zapomina się o wskazyściem.

Koffa.

Dla czegoż zatem skarżyła się pani?

Lola.

Czemu się skarżę? Po prostu, czemu ja się
skarżę, kiedy tak łatwo by było cieszyć się,
śmiać, ach, jak śmiać!... ze wskazyściem, na-

wet z siebie samej! Poszedła, panno
dopó, będziemy się śmiały, opowiem ci
mój sen. Śniła mi się, że roslam kwiatem
w ogrodzie i tak ciągnęłam w górę, tak
męczyłam moją biedną. Tedyż aż moja
korona przeniosła wszystkie inne kwia-
ty i wznosiła się sama najwyższej królu-
jąc nad niemi. Teraz mnie kobasę mo-
żesz napewno, mówiłam sobie! Tymcza-
sem, zamiast motyla, przyjechał niegrze-
chny dzieciak z cynową szabelką do ogro-
du! Sprotnęł kwiat, który pięł się wy-
żej od innych, uderzył i biedna korona
spadła do błota, gdzie różnobarwne
jej listki podziobały wróble. Prawda,

że to zabawny sen?

Rosja.

Opowiadasz go pani smutnie.....

Lola.

Przeciwnie, morał z niego mogłabym śpiewać na nutę operetkową, jak mój szwagier Simbecke: że nie trzeba głowy na wysoko podnosić i chcieć patrzeć w słońce bo.... bo to skodni na oczy.... Więc pani już opuszcza Warszawę?

Rosja.

Kładę się że dziś już plany tatki ostatecznie się rozbiją, o czem właśnie narada toczy się w gabinecie ojca pani! W takim wypadku nie mamy tu już co dłużej robić. Wróćmy do swoich trochę ubożsi pewno,

ale zawsze skreślił i z tego nie będziemy
razem.

Lola.

Czy jedziecie państwo tylko sami?

Kosja.

A któryby miał jechać z nami?

Lola.

Chyba pani, pan Horszki.

Kosja.

Od kilku dni nie widzieliśmy go, przy-
puszczam że go tu spotkamy.

Lola.

Z nami już się pojechał. Czy pani
często widuje go na mi?

Kosja.

Codziennie prawie; mieszkamy o niedaleko.

Lola.

Lola.

Musisz pani często spacerować w tym kierunku?

Łolka.

A to dla czego?

Lola.

Żeby spotkać kuzynka.

Łolka.

Nigdy mi to przez głowę nie przeszło.

Lola.

Więc nigdy serduśko pani nie nabiło silniej dla niego?

Łolka.

Czy to badanie ma na celu uspokojenie pani, czy też chęć podrażnienia mnie, gdyby przypuszczenia pani były słuszne.

Lola.

Przyknał się pani że go kochała.

Łofja.

Gdyby nawet tak było, pani bym o tem
powiedziała ostatniej.

Lola.

Łękałabyś się rywalki?

Łofja.

Nie rozumiem tego wyrazu.

Lola.

Santo, nie rozumiesz pani że można ko-
goś kochać i kłócić się z jego uczuciami
innymi?

Łofja.

Kochać można, to rozumiem ale kłó-
cić! Nie szukając allegoryi snów, po-
wiem pani że ja należę do rodziny kwia-
tów średniej miary, które nie kłóczą, zbyt-
niego zimna ale i upałów podzwrotni-

nowych nie pragną. Uczucia nasze idą w
piarzę z usposobieniem, Tagodzi je może
rodzinna atmosfera miejskiego dworku i
nigdy też nie są, narabyt gwałtowne. My
umiemy kochać ale nie wybuchamy wz-
brania, Tamą uczucia: umiemy się smucić
ale nie rozpaczamy: straty umiemy przebo-
lec, krzywdę zapomnieć, a pocieszać się w
kościele.

Sola.

O! na jankiś to poważnie weszliśmy tory!
O to męstwo i samego podejrzenia o
miłość kuryka.

Gofja.

Ustotnie, może rozmowa niekiedy właści-
wa dla młodych panienek, ale nie mog-

Tam pani zostać dłużną w odpowiedzi
gdy kołasko byłam dyskretniejszą od
pani w pytaniach.

Lola.

Pani wieś o wszytkiem; ja to odgadłam
od razu.

Łofja.

Tak jest wiem.

Lola.

Świeś pani że to nerwane?

Łofja.

Nie o tem nie wiedziałam.

Lola.

A zatem ja pani to mówię. Cięż się
pani.

Łofja.

Łatwiej panią tylko, bo musisz cierpieć.

Lola.

Lola.

Ja nie chcę żeby mnie żalowano. Nikt!
 a pani bardziej niż ktokolwiek inny! Czy
 pani sądziła że nie dostanę męża, który
 mnie będzie kochał? Od czegoż miłowny
 mojego ojca, kręcenność Elżbiety wrzeskie,
 moja uroda, młodość? Myślała pani że
 rozpaczona. a ja taka jestem wesela!...
 Chcesz pani walcować? walcujmy. Bę-
 dziemy sobie w takt śpiewać. Czyż nasz
 pani nie piosennkę? (nuci)

Oho mi tych veru kół
 Bo ich więcej nie kowacze!

Łopja.

Biedna! ty płacesz!

Lola.

Lola.

A więc tak, ptaszkę! Ptaszkę, że nie
wyrasta tak jak ty, wśród ludzi, któ-
ry kochają, ale wśród tych, którzy za-
dróska i nienawidzą. Na pensyi my
nie mamy kolegów, prześladowa-
lub wysmiewają! W życiu spotykamy
znajomych, pochlebców, ale przyjaciół
nigdy! Ludzie się do nas garną, tylko
z interesu, aż ojcowie nasi kupią nam
mężów. Oni nie wiem jakie są winy mo-
ich rodziców, ale chcą prawa życia
dla siebie i ożeniarają mi go. Mężczyzna
może się bronić, ale kobieta która sercem
żyje, gdy jej się do serca wydziera, coż jej
pozostanie! Bóg nie jest tak miściwym

na trzydzieste pokolenia, jak tutaj ludzie
są, mściwi nad nami.

Goffa.

Trzeba ich pokonać.... miłością.

Scena 2^a

Cix, Elżbieta i Łelski.

Elżbieta.

Solu, prowadzę ci gościa, który przycho-
dzi zapowiedzieć ci.....

Łelski.

A, niechże pańi pozwoli żebym ja sam
wywiązał się z danego mi komisu. Słucham
panna Gosia kawałci pania prosi chw-
leczkę, a ja prosi ten czas katalizacji moją
misję.

Elżbieta.

Więc ciągła tajemnica? Wygląda to

na groźne próby wolnomularskie, które
nikogo już dziś nie straszą. Kresata,
pan'ski sekret jest znany a ja wie-
działam z góry, że się to tak skończy
musi.

Kelski.

Tak?

Elzbieta.

A, nie, nie! Je ne veux pas deflauer
votre nouvelle! Naprawiaj pan sam,
coś kepsut! będziesz miał pokutę i nastu-
gę. Panno Kofjo, podaj mi rączkę, pój-
dziemy obejrzeć storexyki. Tylko bankie-
rów stać na tak kosztowne kwiaty. Ten
biedny Fingier, który wrzucha do ciebie....

Kofja.

Lofa.

Pani, ja nie jestem storczykiem (rozmawia-
ją z Elżbietą przy oranżeryi, nie schodząc
ze sceny.)

Lola.

Co mi pan przynosić?

Żelński.

Proszę o chwilową adyencyę, najprzód dla
mnie, a potem dla niego.

Lola.

On już mnie pożegnał, a pan? Czego pan
chce sobie odemnie?

Żelński.

Pragnę pożytkować od pani przebaczenie.

Lola.

Co co?

Żelński.

Mam skrupuł sumienia, wątpliwość, któ-
rą pani jedna rozstrzygnąć mi możesz. —

Lola.

Słucham pana.

Łelski.

Wie pani, że bytem przeciwny matce-
stru pani i Horskim?

Lola.

Wiem. Nie przyjdzie do skutku; powinie-
nieś pan być zadowolony.

Łelski.

A jednak, pani go kochała?

Lola.

Łapomę.

Łelski.

On panią kocha.

Lola.

Ożeni się z Kosią i....

Łelski.

Głos się pani tamie, a więc nie zapom-
niła go pani tak łatwo. A jednak, tak

jak się dziś kwestya przedstawia, jest prawie
niemożliwą, do rozmiąkania.

Lola.

Przebieżę ja, pan rozmiąkał? Co panu
wnaczu, że jedna biedna dziewczyna popła-
ce trochę! Mam złoto, jak król Midas,
tylko że ono mi nie zastąpiło pokarmu,
a mnie nie zastąpi..... życia.

Żelazki.

A! gdybyś nie ten majątek, sądzi pani, że
onby się wahał chociaż chwile, lub że ja-
bym odradzał iść na głosem serca? Boć na-
reszcie Kochacie się.

Lola.

Po co mnie pan badać? Powie dziś pan
sobie: jeśli go kapamni, to dobrze zrobił,
rozdzielając ich; jeśli z tego umrze, to

będę miał wygrać i chce pan wypróbować, z tego co powiem, jaka będzie moja przyszłość: umrę czy nie umrę? Usiądź pan sam, gdy tak kłaniasz ludzi. Ale przede wszystkim, po co ta rozmowa ze mną? Pan ma swoje zasady, muszą być uscisłe i wzniosłe, gdy są tak bezwzględne i niewzruszone. Stosujesz je pan w życiu do dwójga ludzi, — ulegają im, o cóż panu chodzi? Wóz pańskich przekonań jedzie szerokim gościńcem utartych uprzedzeń. Na chwałę cię coś pod kołami! Jeśli to tylko noga lub ręka jakiegoś biedaka, pan się nie obejrzy nawet; niech pojeździ trochę, wygoi się z czasem! Zasady triumfują. Ale jeśli tam była głowa, serce, jeśli ra-

ny są śmiertelne, wtedy pan Łelski ma skrę-
 pnięcie sumienia. Lawracac' już ani sposób, ale
 możeby trochę unieść kota! Niech i do płuc
 biedaka dostanie się trochę powietrza,
 niech mu śmierć będzie łżejsza; on był wy-
 jątkiem, bo umiera. A, panie Łelski, nie
 o mnie już chodzi, mój los nie w mojem ani
 w pańskim ręku, ale o te wyjątki wśród
 nas, które garną się do nas sercem, a wy-
 je odtrącać szyderstwem, nie patrząc,
 czy wpadną w przepaść - czy podeptani, kto-
 świeją w katury życia!

Łelski.

Odpowiem pani krótko. Brutus postat
 swojego syna na śmierć, wielbił go za to
 ale prosi, nie być synem Brutusa. Wna-

szem społeczeństwie niezłomnie bankiercy
mają te firmy. Czy są wyjątki? prawdę
podobnie. Ale ja wolatem aby młody chło-
piec, którego w siriach wprowadzał nie
rehabilitował sobą sprawy bardzo wąt-
pliwej w opinii ogólnej. Wszystko co do-
bre i prawdziwe, musi z czasem kony-
czyć się! może i takie małżeństwa kie-
dys' staną się chlebem powszednim jeśli
mają, uczciwe powody bytu. W każdym
razie, do są, początki i niekiedy przyjem-
ne dla tych którzy idą w awangardzie.
Jedem w tym pierwszym szeregu przyja-
ciela widzieć nie chciałem, co w tem dwi-
nego? Tymczasem, miłość się w to miesza

i pytam sam siebie bez uprzedzeń, przeciwnie z całą rykliwością, jaką mam dla pani, co lepsze? przeboleć doznany rękodol czy małe życie całe życie.

Lola.

Lekom?

Żeliski.

Z miatrakami? ale ludzkich przyków z klóciem spilek!....

Lola.

Panie, ja już powiedziałam swoje a dy-skutować... po co? wszakże on już nie wróci.

Żeliski.

Przeciwnie, przyjdzie na chwilę. Dostał list od ojca pani.

Lola.

Takto? mój ojciec pisał....

III List. Now -
Maryja

Scena 3^a

Elż i Marya.

Marya.

Czy tu nie ma Elżbiety? A, jesteś narę-
szyć; myślałam że się już nie znajdzie.
(do Elżbiety n. s.) Zlituj się, wypraw ich
młodych ja muszę z tobą pomówić w
tej chwili.

Elżbieta.

(do Maryi n. s.) Czy tak gwałtownego?

Marya (j. w.)

Dowiedz się; ale na miłość Bożą niech
że nas zostawią samych.

Elżbieta.

Panie Zelski, bądź łaskaw towarzyszyć
pannom do ogrodu; hrabina potrzebuje
ze mną pomówić.

Łelski.

Z największą przyjemnością. Skutę paniom.

Lola.

(Do Łelskiego n. s.) Więc on przyjdzie i znówu Elżbieta do układała?

Łelski.

(do Loli) Widzi pani, jakże to wszystko ma pokony.

Łofja. (d. s.)

Sta mi mówi o Fingierze! doprawdy tego już nawiele! Skreślę ciem, że to już pewno ostatnia konferencya taka. (Łofja, Lola, Łelski wychodzą do ogrodu.)

Scena 4^a

Elżbieta, Marya.

Elżbieta.

Cóż ci się takiego stało? czemu tak jes=

tes' przerwiona?

Marya.

Mój mąż!

Elżbieta.

Umart! kaboty, ramny? Może nieś?!

Marya.

Gorzej!

Elżbieta.

Przestępstwo kryminalne?

Marya.

Spotkał mnie, gdy m wychodziła od księ-
cia Romana.

Elżbieta.

Ah!... Poznał cię?

Marya.

Widocznie czekał na mnie! musiał
być uprzedzony! ktoś nas zdradził.

Elżbieta.

Elżbieta.

Może list przejął?

Marya.

Nie, nie pisywaliś mi do siebie.

Elżbieta.

Santo, bez listów?

Marya.

Znalekliś mi inny sposób porozumienia.

Elżbieta.

Powiedz mi potem! Gdy cię spotkał mówi-
taś co do niego?

Marya.

Nie! Triato się do przed sienia, — odtrąci-
tam go ręką i karałam się więc do cie-
bie a nie kastawsky cię przyjechałam tu-
taj. Jestem przekonana że mnie gonit
i że nie kastawsky w domu tutaj przyj-

Oxie. Wybada ludki, stangreta, lonaja
i będe zgubiona. Za tego nie przeżyje! Nie
pozostaje mi nic, tylko śmierć.

Elżbieta.

E... moja droga, dajże pokój! kiedy się kto
o takie rzeczy kabiłal toby potawa z
nas była już w grobie.

Marya.

No ale co robić? co mi powiedzieć jak
przyjdzie! Radzi, jesteś doświadczona
odemnie.

Elżbieta.

Czy jesteś pewna że w swoim pokoju, gdzieś
w jakiejś szuflce, nie ma jakich listów,
kartek kompromitujących?

Marya.

Ależ nie, porozumiewaliśmy się na po-

mocą krawatów.

Elżbieta.

Krawatów? A to coś nowego!

Marya.

To pomysł księcia! Mąż jadł śniadanie z nim razem w klubie i stosownie do tego czy miał krawat kolorowy czy czarny.....

Elżbieta

(podchwytując) Znaczyło: „czekaj mnie” albo nie mogę przyjść”. Rozumiem, to nieźle pomysłane! Ktos' was musiał zdradzić albo też twój mąż był tem wypadkiem tylko!

Marya.

To być nie może! cóżby robił w alejach o tej godzinie?

Elżbieta.

Albo ja wiem! A, jeszcze jedno! mówiłaś żeś jeździła własnym powozem, z lokajem

i staugretem.

Marya.

Tak jest!

Elżbieta.

Nie pora teraz dawać ci nauki moralne,
ale to jest sekret niegłębkości! Tak moż-
na spuszczać się na dyskretyz służby.
Od czegoś są doróżni lub karęty wynaj-
żete? Ty jesteś nie doświadczona, ale
ten książę, niech mi daruje....

Marya.

Stawali na rogu dróek ulic a ja mówi-
tam że idę do biednych.

Elżbieta.

Tak, oni tacy naiwni!

Marya.

Marya.

Stato się! ale radź mi, co ja mam robić?
on tu napewno przyjdzie.

Elżbieta.

Czy przyjechales' tutaj tym samym powo-
zem?

Marya.

Tak jest! mówiłam ci już, że jadę od cie-
bie.

Elżbieta.

Pozwól! pójdę się rozmówić z twoimi lu-
dźmi! Jeśli twój mąż przyjdzie do ni-
czego się nie przyknuwaj; pamiętaj jedno:
śmiej się, śpiewaj, miej atak ner-
wowy.... tylko się nie przyknuwaj. W ta-
kich przygodach przeclawusztkiem bez-
celności i dupet.

Marya.

No tak! ale jeśli mnie poknał?...
Elżbieta.

Elżbieta.

Posłuchaj, poświęć się dla ciebie i oca-
lę cię, choćby moim kosztem.

Marya.

O, moja droga! Ojciec że ci odwdzięczy?

Elżbieta.

Mam kuryna bez miejsca... wakuje
nackeluinostwo banku.

Marya.

Licz na mnie! wyproszę od ojca, choćby
mi przyszło powiedzieć mu... No, wale,
przebież wszystko niż skandal. Ah! je-
śli mnie drugi raz na to złapią!

Elżbieta.

Elżbieta.

Nie karzенаj się! Kobieta nie może być nigdy pewną dnia ani godziny! No, kwłosek go jak będziesz mogła, do mojego powrotu! - Miałas ten sam kapelusz? Po co pytam? mroal długi i ciemny! Daj mi swój kapelusz! No, śmiało; bierzmy się ostro! Dziś biedna, jak knać że to swój pierwszy wypadek! du soupet ma chère, du soupet! Tak się w to wpada to jedyny ratunek: bexchelnoić. (wychodzi na prawo).

Scena 5^aMarya potem Pimbeche.Marya

Łatwo to powiedzieć! No, jeśli tym razem wybierzę coś, ślubuję sobie, nigdy tam

nie chodzić! Wolej już.... niech on do mnie
przychodzi. (sprostrega męża). Ach! 'otóż
i moment psychologiczny!

Pimbeche.

(wchodzi gwałtownie, kabłącony, włosy
w nieładzie, krawat przekreślony) Pani!

Marya.

To ty Anatolu!

Pimbeche.

Tak, to ja!

Marya.

Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

Pimbeche.

Au w alejach.....

Marya.

Co mówisz?

Pimbeche.

Pimbecke.

Pani, nie grajmy komedy! to się na nie
nie przyda; ja wiem o wszystkim!

Marya.

O czem?

Pimbecke.

O czem? Ona mnie pyta o czem! O, ko-
bięto marna; o nędzna istoto!

Marya.

Cóż to kłasku, kmięniask rodka??! i ope-
retki przechodziś do dramatu?

Pimbecke.

Tak pani, dramat to na mato, to tra-
gedya: tragiczne też będzie miało za-
kończenie.

Marya (d.s.)

Nie jest bardzo straszny! (gł.) Wiem z
operetką, było ci bardziej do sławny. (d.s.)

Łyskajmy na exasie. (gt.) Samiżtarsz u
Gasparonc: (śpięma) Noc ciarna skryta
świat.

Pimbeche.

(Machinalnie śpięma na nia) Gmiano na-
wet promień xbladł. (urywa nagle) Nie!
nie będę śpiewał! Za przyskocłem wybu-
chać! ja chcę wybuchnąć!

Marya.

No, to wybuchaj, ja ci nie przeszkadzę!
Tylko pozwól... ubranie twoje nie jest w
porządku! włosy masz potargane, kra-
wat przekreżony.

Pimbeche.

Krawat! tu cię exekutem! Za karuję pa-
ni dotykać mojego krawata!

Marya.

Marya.

Alex Anatolu, pomiarkuj się!

Pimbeche.

Oa niechę się miarkować! ja chę wybuchac? Przychodę do klubu a ci mnie witają chórem, na ucie z „Życia paryżkiego” (nuci) Nasz Anatol jasny krawat ma... krawat ma. Co ma znaczyć nowa moda ta... moda ta?... Nie, nie będę śpiewał!

Marya.

Tużes' to mówił.

Pimbeche.

To oni śpiewali i śmieli się! I ja się śmiałem, ale przestałem wrócić! Pytam ich, czego się śmieją? Nie odpowiadają i śmieją się coraz bardziej! Wreszcie, Kłeks' powiada mi, że książkę Roman jest stały,

nie mógł być w klubie ale prosił Terzego
żeby mu przysłał kartkę, jani ja będę miał
krawat! Laciekawiło mnie to! Dla czego
on się interesuje mojem krawatem! Krawa-
tami które pani mi wiązałaś własne-
mi rękami! Siadam w doróźnie, jadę
do Romana! Dwornik, lokaj powiada że
pan nie przyjmuje. Łażę ty! będzie wolny
dopiero za godzinę! Coś mi się tnie! Sta-
nętem przed sienią - czekam! W trzy kma-
dranse moxę, wyszła kobieta z sieni do-
mu! Pani wiez kto była ta kobieta!

Marya.

Nie, nie wiem.

Pimbecke.

Aa, nie wiez pani! Chciałem ją chwycić

na rękę, odepchnęła mnie silnie! potkną-
tem się i xdażyła uciec. Wsiadła na ro-
gu do karety! Pani nie wiem czyja była
ta kareta?

Marya.

Żkądże ja mogę wiedzieć na czyją kareta
pan gonites!

Pimbeche.

Wpadłem w błoto! xawałatem się! W,
przewrotności! twoje nazwisko kobieta!
Przyjechałem do domu nie było cię! Odbi-
łem twoje biurko! nie w niem nie znalaz-
łem.

Marya (d.s.)

Dobre Elżbieta przewiedziata.

Pimbeche.

Wziąłem rewolwer i przyjechałem tu-

ta! Wiarotonna kono, gotuj się na śmierć! Zabiję cię i twójego uwodziciela!

Marya.

Proszę cię, schowaj tę broń! możesz mnie skaleczyć wypadkiem.

Pimbeche.

O matoduxna! znać gniano z którego pochodzisz... córko kupca!

Marya.

No, nie poniżaj mnie tak znów dla tego, że swój jakiś przodek golił brodę króla.

Pimbeche.

Golił! Pani! krabia Pimbeche słuwał nad peruną królewską!

Marya.

Marya.

No, więc swój pradek nie golił, ale za to
jego potomek goli mojego ojca.

Pimbeche.

Nędzna kobieta! miałem wybuchać ale
jeszcze się hamowałem.... (Ełbieta wchodzi
w kapeluszu Maryi na głowie)

Scena 6^a

Marya, Pimbeche, Ełbieta.

Marya (d.s.)

A, nareszcie!

Pimbeche.

(patrząc na kapelusz Ełbiety) Co to jest?

Ełbieta

No ja! czegoś się pan tak wpatrujesz we
mnie?

Pimbeche.

Pimbecke.

Takto, ten kapelusik?...

Elżbieta.

Podoba się panu?

Pimbecke.

Nie, ale.....

Elżbieta.

Dziękuję ci Maryo, na karę, już ci ją odstata.

Pimbecke.

Pani jeździłaś karę mojej żony?

Elżbieta.

Jest tak dobrze że mi ją przysyła, od czasu do czasu.

Pimbecke.

Więc to panią spotkałem przed godziną?

Elżbieta.

(patrząc na niego knasząc) Gdzie? Robi-

Tam dziś kilka wiyt, nie wiem zatem gdzie
 mnie pan spotkać mogłes. Byłam także
 u mojej modniarki na Nowym świecie w tym
 samym domu w którym mieszka jedna z
 baletnic; nie mogę sobie przypomnieć naz-
 wiska; pan wiek pewno, jakaś panna
 Klotylda.....

Pimbeche.

Ne pani, nie wiem! ja nie znam żadnych
 baletnic! Konusiu, zapewniłam cię... że jes-
 liby przez jakąś pomyłkę mówiono ci.....

Marya.

Daj mi pan pokój; potem co nasza nie
 pozostaje mi jak prosić ojca aby mnie od
 pana uwolnił.

Pimbeche.

Pimbeche.

Rozdzieć się z tobą, nigdy! na wiele by
mnie to kosztowało. (do Elżbiety) Pani,
wytlumacz jej pani, że Książę Roman,
Klotylda, krawaty, przemrościłem się w
błoto, porwałatem się.....

Elżbieta.

(d.s.) Wszystko mu się pomięszło.

Pimbeche.

To była prosta pomyłka. Inną kobietę
wzięłem za nią! Nie panisz, bron' Boże....

Elżbieta.

Maryś ma stusknąć, nie trzeba brać
innych kobiet za żonę własną.

Pimbeche.

Krótki warok! przytem ta ruchliwość

moja, potknąłem się! W klubie śpiewali
na nutę życia paryskiego „Nash Ana-
tol jasny krawat ma” to mnie doprowa-
dziło do wściekłości.

Marya.

Rozbił moje biurko.

Eliżbieta.

Co, pan rozbił biurko swojej żony?

Pimbecke.

Przekłamał! Skukałem papierów waż-
nych, listów! ale każdy je naprawić.

Eliżbieta.

Listów pan skukał? (n. s. do Pimbecke'a)
pewno panny Filotyldy?

Pimbecke.

(n. s. do Eliżbiety) Pani! słowo honoru nie
nie powiem o dalszym spotkaniu ni-

komu, tylko dyskretya wrajemna... (gl.)
Wstaw się pani na mąż do niej! Boże!
ja mogłem podejrzewać takiego anioła.

Elżbieta.

(n.s. do Maryi) Nie, więc? jego nawet osku-
kiwać nie warto! (gl.) No, pogodzić się
państwo i przebaczyć króciemu wspania-
łomyślnie, choć nie wiem co kawić.

(do Maryi) A pamiętaj o moim kurynie.

Marya.

(do Elżbiety) Nie karomne, bądź spokoj-
na.

Pimbecke.

Zonusi! (do Maryi n.s.) Książem ja za
ciebie! nie kompromitujmy kobiety. Ale

wiesz, na przyszłość jak ma tam pójść
to już nie w twojej karcie.

Marya.

Bądź spokojny - już nasza karetka tam
nie pojedzie. Więc myślates' że: (muci' mal-
ea z Gasparone):

Panie matronko na drzewianach stój
Bo koło koni przyjaciel twój

Pimbeckie (za Maryą.)

Skądby wie to trafiła się
Prawie w każdej rodzinie.

Elżbieta.

(d.s.) No teraz się porozumieli! harmo-
nia w matkinstwie przymroczona.

Scena 7^a

Cik, Dormund, Fingier i Stockfindel,

wchodzi z prawej: Łelski, Lola, Hoffa
z ogrodu potem Limburg, wreszcie Flor-
ski.

Dormund.

Dajcie mi panowie spokój! Ja już
mam dosyć tego wszystkiego.

Fingier.

Ależ, panie Taskawy.....

Dormund.

A Taskawyż pan jesteś dla mnie! Nie
mstydz się panu? Z przeproszeniem, tak
wyglądasz, jak dydło i przywielkato ci
się, co ja tobie córkę oddam! Ten Boga
w sercu bym nie miał! Także przy-
patrz się sobie, ex towiaku, gdzieś do-
bie do mojej dziewczyny.

Fingier.

Panie, mój majątek.....

Dormund.

Oa wiem, co u was wszystko kupić można!
no, ale moja koscia nie na sprzedaw takoy!
Tu w mieście, handel urządzącie! Maż,
kōna, kicię, tesciowe, wszystko przez piemię-
dne! No, was jeszcze nie kupicie, koekamię-
ki! koscia! kabierajmy się! jedziemy do Mar-
gal'skerek! Stracitem ja ci, dniecko, posa-
gu trochę, naciągęli tutaj kili ludzie, ale
takoy, nie ka browar, a ka wszystko skar-
by, jabym się nie dał takiej paszudnej
kreaturze!

Fingier.

Panie! ka takie słowo.....

Dormund.

Dormund.

Ta nie wykrywa! Kochanienki, bo powiem
grubiej! (do Elżbiety) Tej pani też słowo
powiem!

Elżbieta.

Panie, spadkiem się, nie dla kobiety....

Dormund.

A! co mi nie takie kobiety!.... (do Kelskiego)
Kłótes' racysz, krewnianu, to nie
nasz świat!

Fingier.

(do Stockfindla) Widziates' pan, jaki
grubijanin?

Stockfindel.

(do Fingiera) Niemożna mu się dziwić?
Matien'stwo z panem to byłaby kiep-
ska antrepryza!

Fingier.

Testem kanonizowany.....

Stockfindel.

Tak ryba w galarecie! Trzęsie się i nie dro-
ma na kotłodek.

Limburg.

(wchodząc do Dormunda) Panie Dormund,
chciałem pana uspokoić, że co do maskyn,
to ja je wezmę do moich fabryk straciła
pan trochę. (zpostrzeg^m wchodzącego Hor-
skiego) A! pan Horski, nareszcie!

Horski.

Otrzymałem list pański i przychodzę po-
wiedzieć panu, że jakkolwiek kranieś
mnie boleśnie.....

Limburg.

Pokwól pan, to się wszystko naprawi!

Pomów pan z Lolą, widział pan, jaka
zmieniona, blada!

Horski.

Prawda!

Limburg.

To wszystko przez pana! Ale ja panu
tego nie będę rachować i interesów kro-
siny także, jak ja, pan sam podypkujesz.

Horski.

Alex panie, czy pan nie rozumiesz, że
to właśnie jest powodem...

Lola.

(podchodząc do nich) Pozwól, mój ojciec,
mnie jeszcze chwilę pomówić z panem.

Limburg.

(odchodząc od nich) Porozumieć się, ja
niczego więcej nie pragnę. -

Lola.

Te kilka dni przekonały pana pewno, że choć nas serce Łaska, ludzkie sądy roznosiła. Walczyć k opiują... za ciężko! Tamie ona najsilniejszych, a choć wiem, że pan masz dość odwagi, ekuje, że cofasz się pan k obawy o nas oboje i nie śmiem panu robić k tego karkutu! Wracaj pan do siebie, a może k najbliżej szczęście bliżej... o miódce... (wskazując na Łoję) k miód! Zapomnij pan o mnie! Lola zostanie panu zawsze wdzięczna, żeś mi dał poznać inny świat i innych ludzi.

Horski.

Posłuchaj mnie panie! Gdybyś nie miała majątku, w tej chwili, w obec wszystkich

narzwałbym cię moją żoną. Po tem, co mi po-
wiedział swój ojciec, powiédz, czy teraz
zrobić do mojej?

Lola.

A więc rozstańmy się! Odjeżdż pan!

Horicki.

Tak też postanowilem: odjeżdż! ale nie
bez nadziei powrotu! Jesteśmy oboje
młodzi! przyszość przed nami! Serce-
li powrócę, serce i dusze nasze będą
zahartowane do walki, przejdą próby
ognia.

Lola.

A zatem, dowiedzenia, - albo: regnam
pana.

Limburg.

(do Elżbiety) Ty skryś pan? on ja regna!

Elżbieta.

Powróci?

Łeński.

Dam panu sposób, żeby go zatrzymał!
Straci pan majątek - kostanie.

Limburg.

Panie Stockfindel, rozumiesz pan to? Ja
mam kłaninrutować, żeby dostać nowe-
go króla.

Stockfindel.

Co pan chce, my i tak przegram, niech kłan-
inrutujemy! Mój mi proklamacyjny po-
sag kończy! Eku przegram, eku wygram,
to kłanin kłaninrutuje. Nie! ci, nasi
królowie "kupujemy nam się nie udało!"

Pimbecke.

(do Maryi) Ale dla czego on chciał wie-

Wnieć, jaki ja mam krawat?

Marya (do męża)

Cicho! To sekret między wami a Elżbietą!
Porozumiewali się w ten sposób.

Pimbeche.

Jeśli tak, nie kompromitujmy kobiety!
Dochowajmy jej sekretu. (d.s.) Opowiem
to Kłoci! usmieje się z krawatów!

Stockfindel (d.s.).

Trzeba być ostrożnym z Limburgiem!
Stracił skłonność do interesów! Tyle się
derax na tych księżów płaci! on, mógł
mieć jednego na darmo i mymyka mu
się! Wiedząc, że już ma pech!

Poniec.

5 m po 1/4 cal

Dm: 2/1 86 roku.

L. 920.

Wzrostcie Pierzymu ces. kr. Samost-
 uchowa pozwolito ualany plenu a dnia 9 styczn-
 nia 1886 l. 101. na przedstawienie na lu-
 tywizj acenie komeryi w 5. abelach K. La-
 lewskiego p. 4. „Nasi zyciowie” pod
 wamukciu opumoczenia na str. 4. wypraczenia
 „a drinowie do jego prana podobie” lu-
 dzien na str. 60. komowy: Hugo No a ...
 a do atow „wdawny niz od charu do charu”
 ces król: Dytechya Policji
 Lwow dnia 13. stycznia 1886.

Wanymurka.



BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.



11/
K 7147
1928. 11. 18
75

